Nr. 50 (1250). Warszawa, 27 Listopada (10 Grudnia) 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Od Redakcyi.

Pragnących zostać z nami lub przyłączyć się do nas, prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty.

Przez wzgląd na prenumeratorów, przybywających z następnym rokiem, nie chcieliśmy w ostatnim kwartale bieżącego rozpoczynać w dodatku nowego a zapowiedzianego dzieła J. M. Baldwina; w końcu grudnia przeto otrzymają nasi czytelnicy zeszyt 6-arkuszowy, zawierający tłomaczenie kilku szkiców Huxleya p. t. „Ewolucya i Etyka," a początek książki Baldwina — „Życie moralne i społeczne", w pierwszym kwartale 1905 r.

POLITYKA.

UKŁAD POJEDNAWCZY.

Po długiej, całomiesięcznej walce dyplomacya rosyjska odniosła zwycięztwo nad angielską. Wierna swym tradycyom i tym razem, ponieważ nie miała żadnej niepomyślnej wojny z Anglią przeciwko sobie, znalazła całą swą zręczność za sobą. A pierwszym czynem tej zręczności w wypadkach nagłych jest zawsze przeciągnięcie sprawy do chwili, kiedy przeciwnik w swojej gorączce już ostygnie. Im pilniej jest temu, kto się o coś upomina, tem większym chłodem przyjmuje go ten, kto ma coś dać — i rzecz prosta, odnosząc nad nim pierwszą przewagę, formalną — we zwłoce, ma już ułatwioną drugą, materyalną — w umowie. Na świecie wszystko, co się między ludźmi dzieje, dzieje się przez psychologię ich namiętności i logikę ich głów. Każdy czyn, najzewnętrzniejszy, najbardziej niby od duchowości oderwany, jest w najgłębszej istocie swojej tylko wypadkową procesu psychologicznego i logicznego. Słaba namiętność musi też wydać czyn słaby; mocna, mocno egoizmem przejęta, głowa znajdzie zawsze w sobie siłę do obronienia swego egoistycznego interesu, a przedewszystkiem honoru, tego przesądu nieomylności i nietykalności, który jednostki ludzkie wszczepiają z siebie w państwo.

Że z całego zajścia przy Węgorzowych Ławicach Rosya wychodzi z honorem, że Anglia jest stroną ze stanowiska praw honoru powaloną, tego nie potrzeba ani logiką dowodzić, ani sofistyką zbijać; o tem świadczy sam układ między stronami zawarty! Dopóki go nie znano, dopóki dzienniki angielskie, nadrabiając miną, wskazywały w nim rozmaite szczegóły niby godność Anglii zabezpieczające, dopóty można było, znając już nawet ogólny zwrot w kierunku ostatecznego rozwiązania, mniemać, że bądź co bądź rozwiązanie to nie będzie tak łatwem i prostem, jakiem je dyplomacya rosyjska od początku mieć pragnęła; ale teraz, po ogłoszeniu umowy, wszelka już wątpliwość ustaje: Rosya odniosła zwycięztwo, bo zniewoliła swą psychologią żywą, swą logiką chłodną Anglię do zadowolenia się tem, co leży już całkiem po za obrębem takiego zadośćuczynienia, jakiego się domagało w Anglikach odczucie pierwszej chwili. Każdy Rosyanin teraz może wziąć do ręki Szekspira i pokazać lordom i podlordom angielskim ten przepyszny koncept wielkiego poety: tego lwa ryczącego w przestworze — ale głosem stolarza-przebranego w lwią skórę. Takim szekspirowskim stolarzem okazała się teraz Anglia, jako firma prowadzona przez pp. Lansdowne'a i Balfoura.

W ogłoszonym przez *Prawit. Wiestnik* dokumencie umowy między rządem rosyjskim a wielkobrytańskim najważniejszy jest art. II. Określa on atrybucye wiadomej już komisyi w sposób następujący: „Obowiązkiem komisyi będzie przeprowadzenie śledztwa i zredagowanie sprawozdania o wszystkich okolicznościach, dotyczących zajścia na morzu Niemieckiem, jak również i o stopniu winy, jaką mogliby być obciążeni poddani obu wysokich umawiających się stron lub też i państw innych, w razie jeżeli odpowiedzialność będzie ustanowiona przez śledztwo." Jedyną tu rzeczywistą atrybucyą jest przeprowadzenie samodzielne śledztwa, mającego z siebie wydać owo sprawozdanie. Wina i odpowiedzialność mają dopiero wyłuszczyć się ze sprawozdania. Wysokie kontraktujące strony, chcąc je mieć jak najbardziej przedmiotowem, nie chcą niczego przesądzać, a tę troskiwość o prawdę posuwają tak daleko, że przypuszczają nawet możliwość winy i odpowiedzialności, obciążających poddanych innego jakiegoś mocarstwa, i to nie jednego, ale wielu — wszystkich, jakie są. Oczywiście, takie urządzenie usuwa zupełnie z przed oczu cały ten splot faktów, które odrazu prowadziły ku podmiotowej prawdzie. W redakcyi też powyższej żadna ze stron nie zobowiązuje się ukarać winnych i odpowiedzialnych. Wyraz „odpowiedzialność" nie jest bynajmniej równoznaczny z wyrazem „ukaranie," a gdy samo pojęcie kary, zamkniętej choćby tylko w naganie, jest zupełnie usuniętem z widowni myśli, wyrazy „odpowiedzialność" i „wina" stają się równoznacznymi. Umowa używa ich tautologicznie.

Ten właśnie art. II jest tryumfem dyplomacyi rosyjskiej, tryumfem tem większym, że przeczącym wręcz słowom lorda Lansdowne'a na zwyczajowej rybce u lorda-mayora Londynu d. 9 listopada. Szlachetny lord wymówił tam słówko *blame*; ale już hr. Lamsdorff spędził je z ust posła Hardingue'a i umowa zgoła nie mówi o żadnej naganie. Długą, dziewięciodniową zwłokę w doniesieniach dzienników angielskich o ostatecznej postaci umowy po tem przedwczesnem wywnętrzeniu się p. Lansdowne'a sprowadziły właśnie uwieńczone powodzeniem zabiegi dyplomacyi rosyjskiej, aby przekonać Anglię, że lepiej będzie dla niej i dla przedmiotowej prawdy, którą właśnie dla dyplomacyi uważa zawsze za najdroższą, i wreszcie dla świata będzie „lepiej bez nagany, niż z naganą.“ W tem tkwi ostateczne zwycięztwo, a zaczęło się ono już z chwilą nagłego przeniesienia układów z Londynu do Petersburga. Teraz dla życia obojętnem jest sprawozdanie komisyi: może mieć wagę tylko dla historyi. Cały ciężar roboty dziejowej padał właśnie na umowę o samą komisyę; dziś, gdy umowa uczyniła go tak lekkim, cała robota jest już prawie skończoną i potrzebaby zjawienia się nowych momentów psychologicznych, aby sprawy przez samo już sprawozdanie za rozwiązaną uważać nie było można. Teraz nawet spóźnione doniesienie o tem, że 7 pocisków rosyjskich z wielkich dział 75 i 47-milimetrowych w owej nocy z dnia 21 na 22 października padło na rosyjski także krążownik „Aurorę,“ nie wpłynie na rozwiązanie sprawy, wzbogaci tylko sprawozdanie. Rosya na całej linii powaliła ryczącego lwa ze *snu nocy letniej*.

Listy z Niemiec.

Gazety niemieckie ogłaszają budżet Rzeszy niemieckiej na r. 1905. Oczywiście z wydatkami na wojsko i marynarkę na pierwszem miejscu. Wydatki wojenne, stałe wynoszą: 463,961,397 mar. (+12,845,841 m.), jednorazowe 25,026,920 m. (—993,369), w budżecie nadzwyczajnym 53,589,400 m. (+32,470,700).

Marynarka żąda 105,260,755 marek (+5,950,246), na wydatki stałe, na jednorazowe 111,498,450 mar. (+10,632,480), na nadzwyczajne 22,047,000 m. (+6,227,000 marek).

Wydatki te pokrywają dochody rzeszy z ceł podatków pośrednich. Cła zestawiono na 512,282,000 m. (+1,413,000), podatek od tytoniu 11,109,000 marek, od cukru 130,000,000 m., od okowity 117,478,000 m. i t. d.

Tymczasem militaryzm niemiecki traci coraz więcej na popularności. Przyczyniają się do tego, prócz względów natury politycznej, przedewszystkiem wewnętrznejego instytucye, oparte na kastowości, ślepej dyscyplinie, nieuszanowaniu godności ludzkiej. Skargi na złe obchodzenie się z żołnierzami nie ustają. Dawniej podnosiła je wyłącznie lewica parlamentarna, dziś nikt faktom nie przeczy, a władze wojskowe starają się tylko uniewinnić i obiecują energiczne przeciwdziałanie. Lewica parlamentarna od dziesiątków lat zwalcza system osobnego kodeksu karnego, osobnych sądów dla wojskowych. Przy obradach, prowadzonych kilka lat temu, nad procedurą wojskową, karną, udało się tylko złamać — przynajmniej na papierze — tajność sądów wojskowych i przeprowadzić kilka drobnych reform. Pozostały tak barbarzyńskie przepisy, jak np. następujący paragraf:

„Jeżeli wojskowi łączą się i wspólnemi siłami odmawiają przełożonym posłuszeństwa, opierają lub czynnie występują przeciwko nim, to każdy z nich zostaje za rokosz wojskowy karany więzieniem najmniej na lat 5.

Kierownicy rokoszu wojskowego, jak i ci, którzy czynnie przeciwko przełożonym wystąpili, podlegają karze cuchthauzu nie mniej niż na lat 5 lub cuchthauzem na całe życie.“

Barbarzyński ten przepis był już często stosowany, gdy chodziło o drobiazgowe nawet zajścia między żołnierzami a przełożonymi. W tych dniach jednak zapadł wyrok tak niesłychany, że poruszył opinię publiczną w całych Niemczech.

W sierpniu r. b. kilku żołnierzy bawiło się w niedzielę na sali tanecznej pod Dessau. Podoficer Heine, zupełnie pijany, wywołał przy bufecie skandal i został wyprowadzony przez żołnierza Wagnera z sali, gdzie przy stole siedzieli żołnierze Günther i Voigt z dziewczętami. Heine dziewczęta, wracające do domu, zaczepił. Te poskarżyły się żołnierzom i Günther zażądał od podoficera wyjaśnienia. Heine dobył szabli i począł nią machać, aż Voigt wyrwał mu ją z ręki, podoficer odebrał jednak broń Voigtowi i uciekł. Żołnierze dogonili go i szablę mu wzięli. Oskarżenie twierdzi, że w tej walce powalili podoficera na ziemię i wybili. Był to więc zwykły skandal niedzielny, o którym ludzie tego rodzaju łatwo i prędko zapominają. Tymczasem oskarżono podoficera o pokaleczenie, a żołnierzy o — rokosz wojskowy, przeciw przełożonemu — pijanemu oficerowi. Prokurator zażądał ukarania żołnierzy 5 laty zuchthauzu, podoficera 6 miesiącami więzienia. Daremnie obrońcy dowodzili, że każdy ma prawo samoobrony („Notwehr“), prokurator odpowiedział: „W stosunku wojskowym niema samoobrony podwładnych przeciwko przełożonym. Istnieje tylko prawo zażalenia.“ A gdy adwokat zapytał, czy podwładny ma obowiązek dać się spokojnie zarznąć przełożonemu, bezprawnie używającemu broni, prokurator odpowiedział: Tak!

Po czterogodzinnych naradach sąd skazał podoficera na 3 miesiące więzienia, żołnierzy na 5 lat i 1 dzień cuchthauzu i wydalenie z wojska. Uznał on, że żołnierz w obronie przeciw przełożonemu ma tylko prawo odparcia („Abwehr“), a nie ataku („Gegenwehr“).

Policyjny charakter państwa pruskiego został w tych dniach ujawniony w nader jaskrawy sposób.

Dziedzic Milbrodt wypędził parobka Kortowskiego, a w kilka dni później zażądał, by wrócił do służby. Sąd ławniczy przyznał szlachcicowi słuszność. Kortowski założył apelacyę. Przed rozstrzygnięciem sprawy komisarz okręgowy przyaresztował K. Sąd ziemiański uniewinnił go, zwalniając tem samem od obowiązku dalszej służby. Adwokat K. zawiadomił komisarza policyjnego listem rekomendowanym o uchwale sądowej. Ale komisarz przetrzymał go w areszcie dzień jeszcze. Uwolniony Kortowski zaskarżył komisarza, żądając odszkodowania za niewinnie przesiedziany czas. Regencya królewska założyła przeciwko skardze protest, twierdząc, że komisarz postąpił słusznie, gdyż „policya musi mieć prawo samodzielnego postępowania bez względu na uchwały sądowe. W powyższym wypadku komisarz tem więcej miał prawo wystąpić przeciwko K., że ten był w pierwszej instancyi zasądzonym. W dodatku szybkie postępowanie było koniecznem ze względu na żniwa.“

Gdy chodzi o dogodzenie interesom szlachcica przeciw robotnikowi, policya ma więcej praw, niż sąd — oto właściwy sens tej uchwały. Robotnicy rolni podlegają prawom wyjątkowym: zakazowi strajku, zakazowi opuszczenia służby przed upływem kontraktu, odprowadzeniu przez policyę do pracy. Po za tem nadaje ona sobie prawo bezwzględnego postępowania wbrew ustawom. Oto znaczenie konstytucyi pruskiej, która przeszło 50 lat temu została wprowadzona gwałtem, konstytucyi opierającej się na sejmie i najniesprawiedliwszem prawie wyborczem.

Przez długie lata żywioły demokratyczne w Prusach, usunięte z sejmu przez trzyklasowe prawo wyborcze, nie dbały dość o sprawy czysto pruskie, aześrodkowywały swe wysiłki parlamentarne w Reichstagu. W przeszłym roku demokraci po raz pierwszy brali udział w wyborach do sejmu, ani jednego kandydata co prawda nie przeprowadzili. Zwrócono jednak od tego czasu baczną uwagę na to, co się dzieje w sejmie: administracya, sprawy szkolne, polskie itd. podlegają sejmowi pruskiemu. Sfery rządowe starają się omijać zasady konstytucyi, przeprowadzać ustawy reakcyjne w sejmie pruskim. W najbliższym czasie myślą przeforsować tam nowe prawo wyjątkowe (o zrywaniu kontraktów) przeciwko robotnikom rolnym, ustawę o zakazie używania języka polskiego na zebraniach publicznych i wreszcie nadzwyczaj wsteczną ustawę szkolną, oddającą szkołę ludową w większym stopniu, niż dotychczas, pod dozór duchowieństwa.

W tem groźnem położeniu demokracya społeczna uchwaliła zwołanie pierwszej konferencyi pruskiej, która odbędzie się w końcu grudnia w Berlinie. Na porządku dziennym stoją: prawo wyborcze w Prusach (referent Ledebour), prawo wyjątkowe przeciw robotnikom rolnym (radny Berlina Heymann), walka o szkołę (dr. Arons, dawniejszy docent uniwersytetu berlińskiego). Konferencya ta będzie nadzwyczaj silną demonstracyą przeciw reakcyi pruskiej.

J. K.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W Mandżuryi wszystko po dawnemu: mróz i małe utarczki. Telegramy długie, ale działanie krótkie, na niedaleką metę. Spędzanie przednich straży japońskich jest niewątpliwie dla Rosyan korzystne; całość jednak zadań strategicznych stanowi tylko drobną grupkę, dorzuconą do piętrzącego się zsypiska trudności i względów wyrozumowanych, które nie pozwalają gen. Kuropatkinowi podjąć nanowo inicyatywy po zapowiedzi z d. 2 paźdz. Japończycy nie donoszą wcale o swoich czynach nad Sza-ho widać, że żadnych nie mają, działanie zaś większe, to, o którem już w przeszłym tygodniu tu pisano, przedstawiają jako obronę po napadzie rosyjskim. Ten słaby ruch, jaki się dotychczas objawia, głównie widać na zachodzie, w okolicach pamiętnego wzgórza Putiłowskiego, którego najpierw utracenie, a potem nieodzyskanie przez Japończyków było raczej błędem ich strategii, niż niedomaganiem ich taktyki, po dawnemu w typie swoim i sile działającej, w żołnierzu i niższym oficerze, zdaniem samych Rosyan doskonałej.

Pod Portem Artura Japończycy, po zajęciu Erlunszanu pochyłni Sunszanszanu i posunięciu się na zachodzie, odnieśli ważną korzyść: zdobyli d. 30 listopada o godz. 8 wieczorem szczyt wzgórza 203-metrowego (ok. 650 stóp). Niesłychane przebyli znoje i męczarnie, zanim swego dopięli. Walkę rozpoczęli d. 26 z. m. wieczorem, prowadzili przez dni następne ze zmiennem wciąż szczęściem, wciąż odpierani, nanowo wracali, a parów między wzgórzem zdobywanem a płaskowzgórzem sąsiedniem

trupami swymi zasypywali. I druga strona walczyła mężnie, z uporem samowiedzy, doskonale oceniającej niebezpieczeństwo zdobycia tak ważnej pozycyi, jaką jest owo wzgórze. Żołnierze bagnetami przeważnie działać usiłowali, jako fizycznie od Japończyków roślejsi i silniejsi; nawet już po utraceniu pozycyi zrana d. 1 grudnia poszli jeszcze na ostre. Już jednak nic poradzić nie zdołali. Na tej piekielnej widowni, którą kiedyś legenda upoetyzuje w okropności bohaterstwa i okrucieństwa, głównie rozstrzyga armata. Bez dział na nic by się cała nieustraszoność Japończyków wobec śmierci nie przydała: Rosyanie możeby się utrzymali pod nawałą ich ataku, ale nie zdołali wytrwać w straszliwym ogniu dział oblężniczych.

Admirał Rożestwenskij nadesłał wiadomość, że w nocy październikowej na Ławicy Węgorzy, pociski rosyjskie padły na krążownik „Aurora." Było ich pięć: 3 z dział 75-milimetrowych (przeszło łokieć w wylocie) i 2 kalibru 47 milim. Admirał mówi o ciężkiem poranieniu duchownego, a lekkiem jednego z oficerów, wpadłe jednak na „Aurorę" pociski nie mogły i jej nie uszkodzić.

Trzy krążowniki i 15 torpedowców japońskich wypłynęło z Sasebo na Ocean z zapieczętowanymi rozkazami — na południe.

W Europie najważniejsze jest zagajenie d. 30 z. m. przez króla Wiktora Emanuela III sejmu włoskiego nowym programatem nowych swobód, mających królestwo i jego mieszkańców uszczęśliwić w skutkach rozwojem istoty narodowej, zapobiedz nędzy, socyalizmowi i anarchii, wyrobić zdrowe obywatelstwo i ustalić równowagę nietylko w budżecie, ale i w życiu politycznem. Tych nowych programatów swobód tyle już było we Włoszech, że dziś już lepsi byliby nowi ludzie przy starych programatach, niż starzy przy nowych.

We Francyi wielkie poruszenie wywołała sprawa nauczyciela, który w wykładzie swym zbezcześcił Joannę d'Arc. Nowy minister wojny, Berteaux, stanowczo nie chce szpiegostwa w armii, prowadzonego przez armię samą. Rząd cywilny za to wydał nowy okólnik, osłaniający szpiegostwo republikańskie w administracyi.

Układy handlowe Austryi z Niemcami zerwane. W radzie państwa rozstrój. W Peszcie bardzo źle. Całe jeszcze szczęście, że się gabinet nie rozsypuje. Zresztą, Tisza traci coraz bardziej powagę, nawet u liberalnych. Ile głów, tyle rozumów, a co kraj to obyczaj: Anglicy już od ćwierci wieku mają swą *cloture*, i jest im dobrze z nią; próba Tiszy na Węgrzech wywołuje burzę i rozstrój. Węgrzy jeszcze mają zawiele temperamentu, a zamało kultury.

W Serbii Gruicz, prezes minist., ma dymisyę.

Sejm w Tokio zagajony d. 30 z. m. Przedtem już opozycya porozumiała się pomiędzy sobą, aby rządowi do ciężkich zadań, które ma przed sobą, nie dodawać jeszcze walki wewnętrznej, która w danem położeniu miałaby znaczenie wojny domowej. I stronnictwa i naród w miłości do tronu gotowe są do ofiar, a będą one ciężkie. Gdy na teatrze wojny śmierć zmiata ludzi, nieuciekających od niej, w kraju brzemię wojny przytłacza własność, bogactwo, pracę, spożycie i wytwórstwo — wszystko, i zatrzymuje się dopiero na nędzy. Podatek dochodowy ma być w dwójnasób zwiększonym, inne o połowę podniesionemi. Kredyt zewnętrzny nie zwraca się ku Japonii z chęcią zysków, bo nie pragnie jej zwycięztwa. Trąby amerykańskie tyle są warte, co dawniejsze piszczałki giełd w Europie. Japonia liczyć może tylko na siebie samą.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Japonia zażądała od Korei zwrotu strat poniesionych przez kupców i poddanych japońskich, a od Chin — wyjaśnienia przyczyn napaści. W rezultacie między obu państwami zawarto umowę, podpisaną w Tien-tsinie przez Li-chung-czanga i hrabiego Ito, nazwaną umową „Li-Ito." Oba państwa obowiązywały się wycofać swe wojska z Korei i nie dostarczać jej więcej instruktorów wojennych; w razie zaburzeń, skoro jedna ze stron będzie zmuszona wysłać na półwysep siły zbrojne, to obowiązana jest uprzedzić o tem niezwłocznie drugą. Chińskie i japońskie oddziały opuściły istotnie Koreę, natomiast przybył tam Tän-uön-guń, wrócony z wygnania przez Chińczyków. Mieli oni nadzieję za jego pośrednictwem zrzucić z tronu króla i odzyskać wpływy, mocno bądź co bądź zachwiane przez traktat Tien-tsiński. Ale po trzyletniej niewoli Tän-uön-guń nienawidził Chińczyków na równi z Japończykami.

W 1885 r. Korea po raz pierwszy stała się powodem niezgody między państwami europejskiemi. Anglia zajęła wyspy Hamilton w cieśninie Korejskiej i opuściła je dopiero po uroczystem zapewnieniu Korei i Rosyi, że ta ostatnia nie zajmie nic nigdy na terytoryum półwyspu [1]).

Po traktacie Li-Ito dziewięć lat trwała błoga cisza w wewnętrznej i zewnętrznej polityce Korei. W tym okresie zawarte zostały wszystkie przymierza handlowe, powstały nowe instytucye administracyjne, w Seulu założono szkoły języków europejskich, szpitale [2]) i misye. Szczególniej dodatnio w humanitarno-oświatowym kierunku zaznaczyły się misye presbiteryanów i metodystów amerykańskich. Chiny w tym czasie przez ścisłe przestrzeganie lenniczych ceremoniałów Korei starały się odzyskać zachwianą powagę. Japonia skrzętnie wyzyskiwała zdobyte ulgi, zabudowywała uzyskane w portach i miastach udziały, urządzała stałą komunikacyę pocztową i towarową z półwyspem, zakładała szkoły, banki, kantory—podwaliny swego przyszłego na półwyspie znaczenia.

W sferach rządowych Korei zapanowało też pewne ożywienie, wywołane głównie napływem pieniędzy z nowopowstałych komór celnych, mennic i prywatnych biur handlowych. Ucisk wszakże nie zmalał, lecz wzrósł. Polip urzędniczy nietylko kładł swe macki na tworzące się nanowo ośrodki pracy, ale jednocześnie wszędzie je zacieśniał, wylękły o swe panowanie. W rezultacie w r. 1893 wybuchło powstanie ton-chaków w najbogatszych i najludniejszych prowincyach byłego państwa Päk-czie.

Ton-chakowie są sektą religijną, mistyczną, pokrewną pod wielu względami z bokserami chińskimi. Jak tamci nienawidzą cudzoziemców, jak tamci szukają ratunku dla ojczyzny w powrocie do starodawnych obyczajów, jak tamci wierzą w cudowne zaklęcia i formuły, wracające zdrowie i chroniące od śmierci. W Seulu przytoczono mi króciutką modlitwę ton-chaków:

[1]) Gdy w 1902 Rosya, zapomniawszy obietnicy, wysłała pancernik dla zajęcia portu Mesampho, o mało nie wybuchła o to wojna między nią i Anglią w połączeniu z Japonią.

[2]) Pierwszy szpital powstał staraniem lekarza amerykańskiego, p. Allen, pod godłem „House of Civilised Virtue."

Jąg-sy — ? [1])
Pul-mang — (nie zapominaj),
Man-sadżi..—(dziesięć tysięcy rzeczy spełnij)...

która okazała się częścią słynnego zaklęcia „trzynastu dźwięków": Si-czum... dżiu-do... hua-jöng... *jąg-se... pul-mang... man-sa-dżi* (cżi)...

— Miesiąc odmawiaj, a kula cię nie zabije!.. — dodał tłomacz.

Prócz tego używają ton-chakowie przeciw duchom zaklęć: czi-kui-hum-czi-nen-ui-taj-kang... i wielu innych, których odmawianie wraca zdrowie i daje powodzenie. Opowiadano mi, że ton-chakowie śmiało szli do boju, pewni swej nietykalności.

— Cóż, kiedy to okazało się zabobonem, i polegli od pierwszych strzałów. Wtedy prorocy ich obiecywali innym, że zabici na trzeci dzień zmartwychwstaną, a gdy i to nie nastąpiło, zapewniali: że zginęli wskutek braku wiary, że niedość szczerze i gorąco modlili się... Zwyczajnie oszuścil.. — zawyrokował wspaniały Szin-mun-gun, urzędnik pałacowy.

Według Korejczyków, doktryna ton-chaków powstała pod wpływem chrześciaństwa. Pierwszy jej głosiciel, niejaki Cchoe-cżje-u, pochodzący z Kiön-san-do, z powiatu Kion-cżju, został uderzony wielkiem powodzeniem katolicyzmu i bohaterstwem jego misyonarzy. Zaczął badać nową naukę i był nawet gotów w nią uwierzyć, wstrzymywało go tylko jej prześladowanie ze strony królów korejskich. Dlaczegóż, skoro jest dobra, mordują jej wyznawców? Od tych rozmyślań mędrzec zachorował i był blizkim śmierci. Pewnego poranku, „gdy promienie słońca zaledwie tknęły szczytów gór," ukazała mu się w marzeniu istota nadziemska i zapytała:

— Cchoe-cżje-u, czy wiesz, kto mówi z tobą?

— Nie wiem!.. Któż jesteś?!

— Jestem Władcą Nieba (San-cżie), uderz czołem przede mną, a osiągniesz władzę nad ludem.

Naówczas Cchoe-cżje-u spytał się zjawiska:

— Czy katolicyzm jest religią prawdziwą?

— Nie!.. Słowa i obrządki te same, ale duch i znaczennie odmienne!

Gdy widzenie znikło, Cchoe ujrzał obok siebie pędzel i skreślił natychmiast na papierze natchnioną modlitwę do „San-cżie," spalił ją i wypił popiół z wodą, co uzdrowiło go niezwłocznie.

Wkrótce potem napisał księgę „Songiön-dä-cżion," w której wyłuszczył zasady nowej religii; złożyły się na nią nauka „o pięciu stosunkach życiowych" Konfucyusza; nauka „o udoskonaleniu serca" — buddyzmu, nauka „o oczyszczeniu ciała od brudu moralnego i materyalnego" — Laotse. Z chrześciaństwa Cchoe wziął jedynie miano boga Thiön-cżiu (Władca Niebieski), oraz nazwę swej religii, którą nazwał ton-chak (nauką wschodnią) w przeciwstawieniu do siö chak (nauki zachodniej, czyli chrystyanizmu). Ton-chakowie są monoteistami, ale wcale nie poruszają zagadnień życia zagrobowego. Nie mają bałwanów i kaplic. Proste modlitwy i obrzędy odbywają przed ołtarzami, zbudowanymi z kamienia, gliny i cementu. Na ołtarzu stawiają dzbanek z wodą i modlą się podczas nocy, bijąc czołem, poczem wypijają wodę, którą zwą „czarą łaski bożej." Nowo nawrócony zapala dwie świece, stawia na ołtarzu chleb, wino i rybę, poczem obecni 24 razy powtarzają z nim modlitwę ton-chaków i biją czołem. Obrzęd kończy się skromną wieczerzą, którą opłaca nowonawrócony [2]).

[1]) Tłomaczono mi to wyrażenie: „światłości wiecznej nie zapomnij," ale nie jestem pewny, czym dobrze zrozumiał.

[2]) Korean Repository, 1895 r., str. 56 60.

W 1863 r. Cchoe został stracony, jako podejrzany o wyznawanie katolicyzmu, ale nauka jego zwolna rozpowszechniała się i nabrała znaczenia społecznego, gdyż jej wyznawcy należą przeważnie do ludzi pokrzywdzonych przez rząd. Nie są jednak ton-chakowie przeciwnikami zasadniczymi obecnego systemu, dążą oni tylko do jego poprawienia przez *wewnętrzne* udoskonalenie jednostek rządzących, a na tem stanowisku chcieliby widzieć swoich wyznawców. W r. 1898, już po upadku powstania, został schwytany w powiecie Uoń-cziu [1]) jeden z jego przywódców, niejaki Czoi-si-chjęg. Razem z nim pojmano i osadzono w więzieniu jego wiernych towarzyszów i współwyznawców Chuang'a i Song'a, oraz Pak-jun taj'a, który dobrowolnie przybył do Seulu, aby opiekować się i dostarczać pożywienia uwięzionemu prorokowi (Pu-phum). Czoi-si-chjęg zeznał na torturach, że z nauką ton-chaków zapoznał go przed 33 laty kupiec z Kan-uoń-do, niejaki Pak-czum-sok, poczem on został przewodnikiem i mistrzem (pu-phum) ton-chaków. Na wiosnę w 1892 r. kilka ich tysięcy zebrało się w Seulu i podało prośbę do tronu o przywrócenie czci straconemu niewinnie założycielowi ich sekty, Cchoe-cźje u. Nie otrzymując długi czas odpowiedzi, postanowili napaść w żołnierskiem przebraniu na dom ministra Jung-czium, lecz projekt nie przyszedł do skutku i spiskowcy rozproszyli się. Następnie słysząc, że rząd zamierza wysłać przeciw nim wojsko, umyślili wywiesić chorągiew antijapońską i wzniecić powstanie w miejscowości Pomu, gdzie głównie odbywały się ich zebrania i dalej wzdłuż rzeki Han do Seulu. Wysłaniec rządu U-jąg-cziung skłonił ich jednak do zaniechania zamiaru [2]). Dopiero bunty w Kobu [3]), które zrazu były zwykłymi rozruchami ludowymi, stały się początkiem poważnego powstania ton-chaków. Jeden z ich przywódców, Czun-piąg-cziun, nadał im charakter religijny i polityczny. Naówczas gromadnie przyłączyli się don z prowincyi Cziun-czión-do ton-chakowie i powstanie przybrało szerokie rozmiary. Wojska królewskie zostały rozbite i wszczęły się zaburzenia w samej stolicy. Wtedy rząd zwrócił się do Chin o pomoc; te wysłały parotysięczny oddział, który powstanie uśmierzył. Ale Japonia wylądowanie na półwyspie wojsk chinskich uznała słusznie za złamanie umowy tien-tsińskiej i natychmiast obsadziła swymi oddziałami port Czemulpo i okolice Seulu. Daremnie przedstawiciele mocarstw europejskich i Stanów Zjednoczonych żądali wycofania wojsk obu panstw, ani Chiny, ani Japonia usłuchać nie chciały; Chińczycy dowodzili, że Korea jest ich krajem lennym, Japończycy powoływali się na traktat. Wreszcie Japonczycy otrzymali od Chin groźbą wojny wymuszoną odpowiedź, że te zrzekają się zwierzchnictwa nad Koreą i uznają ją za panstwo niezależne. Naówczas Japonia zażądała od rządu korejskiego reform wewnętrznych w duchu postępowym oraz zmiany układu z Chinami z r. 1882, w którym Korea była traktowana, jako lenniczka Państwa Niebieskiego. Gdy Korejczycy zwlekali z odpowiedzią, 23 lipca poseł japonski Otori kazał zająć wojsku pałac cesarski i rodzinę monarchy otoczyć strażą honorową. Na ministrów zostali powołani postępowcy i stary intrygant, Tă-uoń-guń, który udawał w owym czasie wielkiego liberała i stronnika Japonii. Nowy rząd zawarł z Japonią przymierze i polecił jej wypędzić z granic Korei Chińczyków. To dało początek słynnej wojnie chińsko-japońskiej, która zakończyła się zwycięztwem Japonii, zajęciem półwyspu Lao-dun, Portu Artura, zniszczeniem floty chinskiej, wreszcie zawarciem pokoju w Simonoseki, mocą którego Korea została uznana przez Chiny za panstwo niezależne. Wyjątkowe do niego prawa Chińczyków zniesiono.

Jednocześnie obradowała w Seulu „Izba spraw państwa wojującego" (Kuń-guk-kyj-mu-czio), zwołana za poradą posła Otori, która miała być zarodkiem przyszłego parlamentu. W ciągu 15 miesięcy opracowała ona za wskazówką Japończyków szereg ważnych zmian organizacyjnych i ustawodawczych, te stały się bądź co bądź podstawą rodzącej się spółczesnej Korei. Oto są ważniejsze z nich:

Jań-baniowie i lud prosty równi są wobec prawa.

Znosi się niewolnictwo.

Wszystkie urządzenia państwowe podlegają reformie.

Wdowy po szlachcicach mogą powtórnie wychodzić za mąż.

Wczesne małżeństwa zostają wzbronione.

Przywileje urzędów wojskowych i cywilnych stają się równe.

Szerokie rękawy urzędników podlegają zwężeniu.

Zabrania się używania dat chińskich w ukazach rządowych.

Rodziny zbrodniarzy nie podlegają karom bez winy osobistej.

Należy zreformować ministeryum skarbu dla zdobycia środków rządzenia krajem.

Urzędnicy wszelkich stopni mogą chodzić po ulicach, nie przestrzegając żadnych prawideł szczególnych, wolno im jeździć konno lub chodzić piechotą według życzenia.

Znosi się obyczaj, nakazujący ludziom prostym stawać i zsiadać z konia, gdy ich mija dostojnik.

Jeżeli urzędnik przywłaszczy sobie cudze pieniądze albo majątek, to ma być ukarany, a pochwycona własność odebrana.

Jedynie władza sądowa i policya mają prawo aresztowania i karania winnych.

Urzędnik po utracie miejsca ma prawo zająć się handlem albo rzemiosłem.

Egzamina literackie, dające prawo do stopnia służbowego, zostają zniesione; naznaczanie odpowiednich urzędników ma się załatwiać w inny sposób.

Ranga i urząd nie chronią od kary za bezprawia.

Podatki mają być pobierane pieniędzmi, a nie w naturze, tkaninie lub ryżem.

Wewnętrzny handel zbożem nie podlega ograniczeniom.

Mają być zaprowadzone dokładne miary, wagi i pieniądze.

Za niewłaściwy pobór i utajenie podatków urzędnicy podlegają karze.

Młodzi Korejczycy ukształceni będą wysyłani za granicę dla pobierania tam nauk.

Ministerya powinny zaprosić cudzoziemskich doradców.

Przedstawicielom obcych mocarstw dozwala się na przyjęciach u cesarza wychodzić z lektyk wprost przed wejściem do sali przyjęć.

Książki dla szkół początkowych mają być wybierane i drukowane przez ministeryum oświaty [1]).

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

[1]) Powiat zapadły w prow. Kan-uoń-do, w górach na południowo-wschód od Seulu.

[2]) Korean Repository, 1898 r., str. 234. Jauc.

[3]) Miasto powiatowe w prowincyi Cziolla-do, na południe od portu Kuń-sań, otwartego dla handlu europejskiego.

[1]) „Opis. Korei," Petersburg, wyd. minist. skarbu, Cz. I, str. 47.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Mobilizacya. — Echa jej w prasie prowincyonalnej.— Niezaradność ogólna. — Znów żebranina. — Zainteresowanie się prasy gminą wiejską. — Kasy gminne. — Potrzeba zmiany. — Braki naszych miasteczek.

Najwybitniejsze w ostatnich czasach zdarzenie życia naszego — mobilizacya częściowa, głośnem echem odbiła się na szpaltach prasy prowincyonalnej. Wszystkie niemal jej organy zaznaczyły niezaradność i nieprzygotowanie społeczeństwa. W niektórych miejscowościach (najpierw w Sosnowcu) utworzyły się doraźne komitety przy magistratach, lecz instytucye te, złożone naprędce z ludzi, obarczonych, prócz wielu obowiązków honorowych pracy społecznej, jeszcze pracą zawodową, z konieczności będą miały charakter naszych ogólnych instytucyi filantropijnych i mogą być uważane ledwie za słaby surogat niezbędnych w tej chwili. Rozumieją też to dobrze i pisma prowincyonalne.

Na wsi smutno — piszą *Echa Płockie i Włocławskie* — pożegnaliśmy tych, którzy odeszli, odeszli może daleko, za dziesiątki tysięcy wiorst. Pozostały na wsi strapione żony z dziećmi, powstaje więc pytanie: na kim ciąży obowiązek opieki i utrzymanie tych rodzin. Jako przykład zupełnego braku pojęcia, co czynić w danej chwili, gazeta przytacza różne zdania w tej kwesyi. Niektórzy twierdzą, że utrzymanie rodzin pozostałych należy do obowiązków pracodawcy, inni, że gmina powinna opiekować się niemi, są zaś i tacy, którzy sądzą, że rząd wyznaczy jakieś stałe wsparcia dla żon i dzieci powołanych pod broń rezerwistów.

W tym-że piśmie p. J. Święcicki rzuca projekt utworzenia czasowego komitetu pomocy dla tych rodzin. Komitety mają powstawać wśród obywateli i duchowieństwa na wsi, a przy towarzystwach dobroczynności w miastach; środków dostarczą „srebro i miedziaki choćby" ze składek ogólnych. Nie jednak *Echa* nie piszą, czy doszedł do skutku ten projekt jedyny na razie.

Zawsze tańczyliśmy na pogorzelców, rautowali lub majówkowali na powodzian, ten lub ów geniusz swojski lub importowany zaśpiewał na podrzutków, książe z hrabiną kwestowali „przy grobach" na wstydzących się żebrać, baronowa z bankierową obsłużyły finanse paralityków, przygodny dobrodziej załatwił wpisy, straszną, ziejącą ranę społeczną głodu i bezrobocia, zasypuje się wedle chęci i humoru kwitkami na tanie obiady, nożowiectwo, jeżeli nie ukróci się, to w każdym razie zostanie wszechstronnie omówione przez kuryerki, a cała kwestya, druzgocąca społeczeństwa na zgniłym, rozpustnym Zachodzie, u nas jak najzupełniej i najspokojniej zostaje regulowaną przez towarzystwa dobroczynności.

Co prawda pogodną wiarę moją w ostatnich czasach mocno nadwyrężył *Kuryer Sosnowiecki*, odwołujący się energicznie do serc publiczności. Uderzamy w dzwon na alarm — woła Kuryer — bo o to miarowym krokiem, ale nieubłaganie zbliża się ku nam straszliwe widmo: „głód," a my śpimy, siedzimy sobie wygodnie w ciepłych komnatkach. A inni? Inni, prz jechali robić pieniądze i o niczem więcej nie myślą. Do nich więc woła *Kuryer*. Panie, otwórz zaspane oczy, dobrze ci, wygodnie

na świecie, ale od ciebie coś się innym należy, innym, to jest tym, którzy nie maj ciepłych kołderek i fotelików miękich tym, którym w zimne noce jesienny wiatr dmucha w oczy, którzy ze strachem myślą o jutrze, wiedząc, że ostatni kawałek chleba dzieci „dziś" zjadły! Czytam to i słyszę miarowy a poważny głos z miękiego fotela: Czegoż wy chcecie? w walce o byt, mogą się ostać tylko siłacze, jak my... płaczecie? no, to zresztą macie na „jutro" i więcej tu nie przychodźcie... I mimowoli budzi się w duszy zwątpienie i myśl, czy już nie pora dać spokój spoglądaniu na świat przez pryzmat tych czasów, kiedy dobry dziedzic, ksiądz pleban i apteczka dziedziczki, wszelkie choroby społeczne i jednostkowe zażegnywały. Czas już stracić to piętno żebractwa, które Kiellandowi wydało się charakterystyczną cechą naszego narodu, czas i wielki czas wystąpić ze ścisłą samoanalizą wewnętrzną i pomyśleć o tem, że chyba warciśmy tego, żeby więcej myśleć o sobie i więcej nad sobą pracować. Trzeba nam instytucyj społecznych koniecznie, instytucyj które mogłyby dać nam pewną gwarancyę życia kulturalnego, życia bez niespodzianek, klęsk głodowych, przewidzianych od dawna, położeń zwykłych, jednak takich, wobec których jesteśmy bezradni, a przedewszystkiem stałej, zorganizowanej pomocy wzajemnej, opartej nie na filantropii i żebraninie, ale na dobrze pojętej solidarności, obowiązku, pewności i jawności. Wówczas być może, że umilkną głosy pytające, do kogo należy opiekowanie się rodzinami rezerwistów; lżej może będzie Towarzystwom dobroczynności, utworzonym dla pomagania kilkunastu dziadom i wychowaniu kilku sierot, a zmuszonym utrzymywać tysiące jednostek zdrowych a nie mogących pracować.

A jednak, nikt o tem seryo nie myśli, nikt nie mówi i nikt nie pisze.

Wogóle, życie nasze zbiorowe ma braki na każdym kroku.

Tak np. niepodobna uwierzyć, jak ułożyły się oddawna stosunki municypalne w naszych miastach i miasteczkach. W Makowie np. jak donoszą *Echa Płockie* w budżecie figuruje suma 600 rubli rocznie na oświetlenie miasta, a owo oświetlenie przedstawiają dwie latarnie, będące prawdziwą ozdobą rynku w dzień, lecz w nocy niezapalane. W tymże sam Makowie, pogrzeby biedniejszych mieszkańców odbywają się za pieniądze, zebrane przez żebraninę, na którą specyalne upoważnienie wydaje krewnym lub przyjaciołom zmarłego zarząd policyjny.

W Płońsku, jak donosi *Czytelnia dla Wszystkich*—ze spraw miejskich nadmienić wypada to jedynie, że uznano za niewłaściwy projekt wybudowania dla najbiedniejszych mieszkańców, mieszczących się po wilgotnych i ciemnych lochach, domu z leżących bezczynnie sum miejskich, odmówiono przyjęcia ofiarowanego przez miasto gruntu pod cmentarz, na życzenie jednostek targi usiłuje się przenieść wbrew woli i interesom ogółu daleko za miasto itd. W Ostrowcu, bogatem blizko dziesięciotysięcznem mieście fabrycznem, ciemności, jak świadczy korespondent *Gazety Radomskiej*, panują już od 20 miesięcy, wskutek niełaski miejscowego przedsiebiorcy Joska. W Nowej Słupi — czytamy w tejże gazecie — od dłuższego czasu grasuje straszliwa szkarlatyna, że bywają dni, kiedy po kilka trumienek niosą na cmentarz, a mimo to najmniejszych środków nie przedsięwzięto. To miasto ma jeszcze inne osobliwości, typowe zresztą w naszych miasteczkach. Rzeźnia np. istnieje tylko symbolicznie, bydło zaś i nierogaciznę biją w domach, po kątach, odpadki i wnętrzności, wyrzucając na ulicę. Rynsztoki, do których mieszkańcy wylewają wszelkie nieczystości, nigdy nieoczyszczane, uważane są przez dziatwę, jako zaciszne miejsca rozrywek itd. To są luźne nachybił trafił wzięte przykład; ogólny stan miast naszych charakteryzuje to chyba, że mając takie mnóstwo braków, wprost wołających o pomstę, i tyle pieniędzy, złożonych jako oszczędności budżetowe, dziś, w okresie strasznego bezrobocia i niebywałej przetto podaży rąk do pracy, nie pomyślały one zupełnie o jakichbądź ulepszeniach, któreby je doprowadziły do stanu za granicą uważanego za obowiązujący pod karą policyjną.

W tem rozpatrywaniu naszego życia zbiorowego z przyjemnością przenoszę się na wieś.

Przedewszystkiem zaznaczę bardzo, mojem zdaniem, dodatni objaw w naszej prasie: znacznie więcej, niż dawniej, poświęca ona uwagi samorządowi gmin, traktowanemu przedtem z dziwną jakąś pogardą. Od roku 1873 bodaj, kiedy *Przegląd Tygodniowy* w całym szeregu artykułów, traktujących o pracy u „podstaw", wzywał inteligencyę do żywego zajęcia się samorządem gminnym, sprawy jego szeroko traktując, sprawy te, wyjąwszy może czasy „ludowości" *Głosu*, leżały w prasie naszej odłogiem. Różne były tego powody, wiele jednak niezaprzeczenie zawiniła sama prasa zupełną nieznajomością tych rzeczy, co szczególniej wydawnictwom prowincyonalnym zaszczytu nie przynosi.

Obecnie widzimy objawy trochę lepsze. *Tydzień* piotrkowski szczególniej wziął gminę pod swoją opiekę. Opowiadając np. o wzorowem zebraniu gminnem w Dobrej, pow. Brzezińskiego, drukuje szczegółowe sprawozdanie z przebiegu jego, co dawniej ledwie towarzystwo sportowe lub dobroczynne spotykało, a następnie podaje kilka ważnych dla sprawy projektów. Między innemi, pismo wyraża nadzieję, że wkrótce wprowadzonem będzie w praktykę zaznajamianie gminiaków z ustawą gminną na samych zebraniach.

Zaznaczyć należy, że ta gmina wiele zawdzięcza energii pełnomocników gminnych i wójta Teofila Patory.

Szkoda tylko, że jej zarząd i pełnomocnicy mało znajdują naśladowców w innych okolicach kraju, gdzie stan gmin, jeżeli wierzyć mamy *Gazecie Radomskiej*, bardzo smutny. Czem jest zarząd gminny? pyta Gazeta i w odpowiedzi bardzo niepochlebnie charakteryzuje ową instytucyę, Wójt—ma to być zwykle poczciwa głowa analfabetyczna, a na tej głowie czapka, właściwa zaś odpowiedzialność umysłowa i moralna za prowadzenie gminy spada na pisarza. Pisarze obecnie, zdaniem gazety, są z małymi wyjątkami ludzie mniej więcej inteligentni, sumiennie spełniający swoje obowiązki i do różnych niezbyt czystych sprawek zmuszani jedynie koniecznością komicznie wprost małego uposażenia, wynoszącego z różnego rodzaju legalnymi dodatkami 45—60 rb. miesięcznie. Wzywa też gazeta raz jeszcze pisarzy gminnych do zrzeszenia się w celu założenia kasy emerytalnej, społeczeństwo zaś do lepszego ich uposażenia, gdyż — jak rezonuje autor artykułu — lepiej jest dać wybranej przez siebie osobie 1,000 rb. i grać w grę otwartwą, niż dać te same pieniądze w formie „nieetycznej".

Echa Płockie znów nawołują inteligencyę wiejską do pracy w gminach, czy to w charakterze członków zarządu lub pełnomocników, czy też w formie ciągłego uświadamiania gminiaków, co do ich praw i obowiązków, a przedewszystkiem przez stałe bywanie na zebraniach gminnych i zabieranie na nich głosu.

Ze spraw gminnych niedawno w prasie rosyjskiej była szeroko omawiana sprawa pożyczkowo-oszczędnościowych kas gminnych.

Niewiele zapewne osób wie o tem, że w lutym r. b. upływa lat 20 od założenia tych kas przy zarządach gminnych. Wzrastały one szybko i obecnie liczba ich z 20 z 62,640 rb. kapitału podskoczyła do 1,320 z 24 milionami funduszu obrotowego. Wobec nowego prawa o instytucyach kredytowych z 20 czerwca, wszystkie te kasy obecnie powinny wejść pod zupełnie odpowiednią w tym razie kontrolę ministeryum skarbu i stracić swój charakter wyłączny, na co zresztą czas już wielki. Ta okoliczność wywołała szereg artykułów w prasie... nie naszej niestety. P. Kornilowicz w *Now. Wr.* poświęca im długi artykuł, w którym zaznacza, zupełnie słusznie, konieczność wyjęcia tych kas z pod władzy naczelników powiatu, gorąco jednak protestuje przeciwko oddaniu ich pod kontrolę i zarząd ministeryum skarbu, proponując natomiast całkiem niespodzianie wzmocnienie władzy dyscyplinarnej nad niemi komisarzów włościańskich.

Że reformy w kasach gminnych są konieczne, nikt temu przeczyć nie będzie i nie może. Muszą one być jednak innego rodzaju. W każdym zaś razie niema racyi stwarzać jakichś instytucyj specyalnie stanowo-włościańskich, gdyż stopniowo mogą one stać się ogólnemi. Są publicyści, dla których chłop polski wciąż jeszcze jest małoletnim, czy też jakąś rośliną cieplarnianą, dla której życia niezbędny jest na każdym kroku specyalny ogrodnik z polewaczką.

J. Dąbrowski.

ABOLICYONIZM.

(Podług artykułu p. H. Block w *Neue Zeit.*).

(Dokończenie).

Drugi referat kongresowy był skierowany przeciwko dążeniu „nowej reglamentacyi". Ruch ten, którego głównym przedstawicielem w Niemczech jest słynny badacz chorób wenerycznych, profesor Neisser z Wrocławia, żąda ograniczenia działalności policyi przy kontroli hygienicznej, a oddania jej komisyom sanitarnym, składającym się z lekarzy, sędziów, duchownych i przedstawicieli innych zawodów. Te komisye miałyby jednak te same zadania, co teraz policya obyczajowa: dozorowanie, czy prostytutki poddają się regularnie badaniu, wydawanie kart legitymacyjnych i oddawanie prostytutki, niepoddającej się badaniu i leczeniu, władzy policyjnej. Neisser — który nie przeczy konieczności reform społecznych dla zmniejszenia zastępów prostytucyi—proponuje domy publiczne, pomimo że są to najważniejsze oparcia handlu dziewczętami i przymusowe badania lekarskie, którym każda osoba niezamężna w pewnych okresach wieku powinna się poddawać mniej więcej co trzy miesiące, przyczem kobiety byłyby badane przez lekarki. Przymusowy charakter tego systemu wynika z ostatniego żądania, przyczem nie usuwa wyjątkowego położenia prostytutek wobec prawa z tą tylko różnicą co do systemu dotychczasowego, że listy dziewczyn kontrolowanych prowadzi nie policya a komisya sanitarna, której głównem narzędziem byłaby jednak znowu policya.

Panna A. Papperitz, która o powyższym systemie referowała na kongresie wspólnie z Aug. de Morsier — Genewa i Blanche Leppington—Londyn, ujęła swe wywody w następujące tezy:

„Co do propozycyi nowego regulaminu abolicyoniści wyrażają wątpliwości:

„...Uprawnienie komisyi sanitarnej w odsyłaniu nieposłusznych pacyentów do policyi lub sędziego, osłabiłoby zaufanie do stanu lekarskiego i spowodowało ukrywanie i rozszerzanie choroby.

„Podrzędni urzędnicy komisyi sanitarnej, dozorujący chorych, resp. podejrzanych, nie różniliby się niczem od dzisiejszych policyantów obyczajowych. Pozostałaby cała surowość i niesprawiedliwość dzisiejszego systemu z sądownictwem klasowem, przekroczeniami i t. d.

Abolicyoniści skorzystali z argumentacyi Neissera przeciwko regulaminowaniu. Neisser oświadczył na pierwszym kongresie towarzystwa niemieckiego dla zwalczania chorób wenerycznych: „...Właśnie chore prostytutki, które z natury rzeczy obawiają się szpitala, unikają o ile mogą kontroli i kręcą się w ukryciu lub opuszczają miasto, byle nie dostać się do szpitala. Dozór sanitarny osób wziętych pod kontrolę nie jest taki, aby mógł dawać rękojmię, że badana nie jest zarażona. Najważniejszym powodem tak niedostatecznego badania jest przedewszystkiem brak lekarzy, którzy mogliby poświęcić mu bardzo dużo czasu. Ponieważ jednak publiczność męzka wierzy w skutek lekarskiej kontroli, więc ona powiększa niebezpieczeństwo hygieniczne, wychodzące od prostytutek, gdyż zachęca do stosunku seksualnego niby pod kontrolą".

Abolicyoniści przywiązują wielką wagę do twierdzenia, że reglamentacya chybia swego celu ochrony zdrowia ludu. Przytaczają oni chętnie angielskie statystyki, które prowadzone od roku 1886, od zniesienia regulaminu, wykazują, że do roku 1898 liczba syfilityków w wojsku zmniejszyła się na 1000 z 270 do 120, wśród nowoprzyjętych rekrutów spadła ze 110 na 29 w 10000. Ilość dzieci zmarłych w pierwszym roku roku życia na syfilis dziedziczny zniżyła się na 100000 dzieci żyjących, z 230 do 159; w marynarce ilość syfilityków zmniejszyła się z 203 do 131 na 1000.

Oczywiście nie można twierdzić, na mocy powyższych danych, że zniesienie reglamentacyi wpłynęło na zmniejszenie chorób wenerycznych. Wykazują one jednak, że i bez niej można skutecznie walczyć przeciwko ich rozszerzaniu się. Tę walkę chcą abolicyoniści prowadzić drogą jak największego uświadomienia o niebezpieczeństwie chorób wenerycznych i potrzebie racyonalnego ich leczenia oraz przez ułatwienie w uzyskaniu pomocy lekarskiej. Panna Pappritz oświadcza:

„Najskuteczniejszym środkiem przeciw chorobom wenerycznym są zdrowe mieszkania, oświata, walka z alkoholizmem, szeroka hygiena społeczna; szpitale powinny przyjmować chorych wenerycznie; leczenie powinno być humanitarnem, a w razie potrzeby bezpłatnem. Gminy powinny urządzać i utrzymywać liczne ambulatorya i polikliniki dla tego rodzaju chorych."

Członek partyi robotniczej, P. Kampffmeyer, zaproponował jeszcze energiczniejsze przeciwdziałanie szerzeniu się chorób wenerycznych, t. j. utworzenie podług wzorów dzisiejszych kas chorych instytucyj, które udzielałyby każdemu z takich chorych bezpłatnej pomocy lekarskiej na koszt państwa, wsparcia na czas choroby i bezpłatnych lekarstw. Wszędzie już zaopatrzone kasy chorych zadanie to biorą na siebie. Powyżej wymienione instytucye należałoby zaprowadzić w miejscowościach, gdzie zaraza weneryczna się szerzy. Takiemi są podług statystyki pruskiej — miasta wielkie, średnie, portowe i nawiedzane przez obcych. Niemieckie prawo państwowe dla zwalczania chorób dla ogółu niebezpiecznych ma być rozszerzone na cierpienia weneryczne. We wszystkich miejscowościach, wykazanych jako zarażone, zaprowadza się przymus poddawania się opiece lekarskiej. To zadanie pełnią komisye sanitarne, utworzone przedewszystkiem z delegatów zabezpieczonych w kasach chorych, z przedstawicieli organizacyj lekarskich oraz państwowych i gminnych władz sanitarnych. Komisye te mają czuwać nad temi warstwami ludowemi, wśród których szerzą się choroby weneryczne, pouczać je i zniewalać dotkniętych zarazą do oddania się bezpłatnej opiece lekarskiej. Komisye mają prawo żądać od każdego mężczyzny lub kobiety świadectwa lekarza, także bezpłatnego. Komisya nie ma prawa poddawać osób, podejrzanych o chorobę, przymusowemu zbadaniu lub zmusić chorego do udania się do wyznaczonego lekarza. Daje ona spokój temu choremu, który udowodni, że się leczy. Jeżeli jednak dana osoba świadectwa zdrowia nie okaże, choć uznana za chorą—kuracyi się poddać nie chce, wówczas komisya jest obowiązana zawiadomić o tem sędziego, który ma prawo zmusić opornego do poddania się badaniu lub opiece lekarskiej.

Pani E. Pieczyńska z Genewy wyraziła obawę, by po drodze przymusowego badania i kontroli nie wrócono do systemu reglamentacyi, zwalczanego przez abolicyonistów. Bardzo trudno stwierdzić choroby weneryczne, gdyż przenoszą się one zwykle przez stosunki ściśle, utrzymywane w tajemnicy, więc komisya byłaby zmuszono do dozorowania życia prywatnego. Każda istota zdrowa żądanie wykazania się zdrowotnością płciową będzie uważać za obrazę, a byłaby zmuszoną do poddania się badaniu, naruszającemu poczucie wstydliwości.

Do dyskusyi nad propozycyą Kampfmeyera, przewodnicy kongresu zaprosili przedstawicieli niemieckich kas dla chorych. Berlińska centralna komisya tych kas w Niemczech wydelegowała pp. Kohn i Siemianowskiego, członków partyi robotniczej. Ci oświadczyli, że kasy berlińskie usposobione są sympatycznie dla dążeń obolicyonistycznych i wypowiedzieli się za rozszerzeniem zabezpieczenia i równouprawnieniem chorych wenerycznie z innymi chorymi. Natomiast o propozycyach Kampffmeyera wyrazili się sceptycznie, co do praktycznej ich wykonalności.

Na kongresie nie było głosowania nad projektem Kampffmeyera. Z rozpraw wynikło jednak, że główni przedstawiciele ruchu abolicyonistycznego zagranicą i w Niemczech propozycye jego odrzucają.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Nietknięte źródło.

Pomimo rozmaitych projektów i odezw, dotychczas nie wynaleziono środków dla udzielania zapomóg ubogim rodzinom żołnierzy zapasowych, powołanych do armii czynnej na Wschodzie. Według doniesienia gazet, przeznaczono na ten cel część składek, strącanych z pensyi urzędników kolei Warszawsko-Wiedeńskiej; ale to jest zaledwie drobna kropla. Powiększyłaby się ona jednak bardzo, gdyby z nią złączono inne, obfitsze źródło, o ile nam wiadomo, dotąd jeszcze niewyczerpane. Mianowicie urzędnicy dróg Nadwiślańskich składają również 1—3 procent od swych pensyj na rzecz wojny, a ponieważ stanowią oni zastęp wielotysięczny, więc zapewne ich ofiary przedstawiają dziś poważną sumę. Nie spotkaliśmy nigdzie wzmianki, ażeby ona już była wydatkowana, doczekałaby się więc bardzo właściwego zużytkowania. Chociaż nie pamiętamy, albo może nie ogłoszono, pod jakim tytułem filantropijnym zaczęto ją gromadzić, nie ulega wątpliwości, że w ramach jej pierwotnego założenia da się pomieścić bez trudu tak ściśle związana z wojną potrzeba, jak ratowanie z biedy rodzin żołnierzy walczących. *h.*

Z humorystyki obywatelskiej.

Dowiadujemy się, że w pewnem gronie, przedstawiającem dość pełny garnitur mężów najrozmaitszego gatunku, odpowiedni dla arki Noego, powstał projekt starań o założenie w Warszawie czegoś na podobieństwo akademii. Gdyby taka idea narodziła się śród uczonych, a chciażby tylko śród osób, mających jakąkolwiek styczność z duchowem życiem narodu, uważalibyśmy ten objaw za mniej wymowny. Taka instytucya jest naturalną potrzebą takich ludzi. Ale kiedy ona domaga się istnienia przez usta szan. obywateli, w znacznej części swego koła niemających nic wspólnego ani z nauką, ani z literaturą, ani z badaniami, ani z książką, ani z myśleniem, obywateli, którzy nie umieliby wzajemnie powiedzieć o sobie, czem się trudnią — to widocznie musi społeczeństwu bardzo dokuczać brak ogniska wiedzy, skoro go nawet odczuwają ci, którzy przy niem nigdy się nie grzeli i grzać nie będą. Zaiste, widok bardzo ciekawy, wprawdzie nieco zabawny, ale jednocześnie dla stosunków naszych charakterystyczny. *g.*

Nieśmiertelny oblubieniec.

Dusza ludzka jest kopalnią tak głęboką, że dotychczasowa analiza nie może nigdy dosięgnąć do jej dna: nie umie wytłomaczyć leżących na niem tajemnic. Zdawałoby się, że po tak potwornem oszustwie, jakiego dokonał w podstępnej grze z nami Napoleon I, że po skażeniu przez niego naszych uczuć moralnych w Hiszpanii, że po rozebraniu go z wszystkich złudnych pozorów i zsumowaniu skutków jego polityki dla nas, przestaniemy wreszcie odurzać się wspomnieniami i sławą bandyty. Tymczasem nic. Dotąd nasi artyści go malują, poeci opiewają, powieściopisarze sławią, a dziennikarze zbierają najstaranniej okruchy jego legendy. Przed kilku dniami upłynęło sto lat od jego koronacyi. Pisma nasze tak uczciły słowem i wizerunkiem tę pamiątkę, jak gdyby ona dotyczyła bohatera narodu lub jego wielkiego dobroczyńcy. Zważyć przytem należy, że ów bezmyślny pogromca, rozbijacz państw i rzeźnik setek tysięcy ludzi, nie pasuje do ram naszego czasu, nieprzyjaznego dla takich „geniuszów." *d.*

Argonauta.

P. Przybyszewski wyrobił sobie przywilej niezależności, z którego korzystają muzycy, malarze, śpiewacy i inne dziatki Apolina, obwożącego słońce, jak wiadomo, nad całą ziemią. Służy on tylko „sztuce," Molochowi z miedzianym brzuchem, w którego rozpalone wnętrze wrzuca się dziś na ofiarę wszystko — wiedzę, moralność, powinność obywatelską itd. Ostatnia wszakże wyprawa naszego Argonauty nie przyniosła mu powodzenia. Oto, jak ją opisują *Peterb. Wiedomosti*:

„Pan Przybyszewski podróżuje po Rosyi południowej. Był w Odesie i Elizabetgradzie. Towarzyszą mu przytem własne instrumenty. Ponieważ sam nie posiada języka rosyjskiego, więc jakiś p. Woznesenski odczytuje za niego jego wykład, p. Birżanowska zaś akompaniuje prelekcyi na fortepianie. P. Przybyszewski zasiada na estradzie, zwrócony twarzą ku publiczności i w taki sposób poglądowo zaznajamia słuchaczów ze swoją osobą.

Niewątpliwie jest to do pewnego stopnia nowością. Przypomina to nieco menażeryę. Około klatki ze zwierzętami przechadza się niewiadomej narodowości człowiek i łamanym językiem objaśnia:

— Oto hyena z Afryki południowej. Karmi się trupami i przeraża ludzi. Oto lew, t. zw. król pustyni, połyka z łatwością wołu itd.

A tymczasem katarynka wykonywa naprzemian bądź uwerturę z „Trubadura," bądź „Marsza perskiego"...

P. Przybyszewski wpadł snadź na pomysł takiego nowatorstwa w przekonaniu, że treść jego prelekcyi jest nadzwyczajna, a przeto wymaga dekoracyj nadzwyczajnych... I wszystko to jedynie po to, ażeby wypowiedzieć, że są na świecie dwaj genialni pisarze, a imiona ich: p. Przybyszewski — dramaturg, i p. Kasprowicz — poeta. Na ten temat, przez dwa wieczory, na wzgórzu śmierci, pod kątem wieczności, wylewa się całe morze zdań wymuszonych i ocean słów pustych, aczkolwiek hałaśliwych."

Szkoda, że p. P. swemi odczytowemi jasełkami naraża się na to dotkliwe szyderstwo. Właściwie jednak ten żal ogranicza się do naszych wrażeń nieprzyjemnego widoku, bo on sam jest na niego nieczuły.

Szkoła sztuk pięknych.

Warszawska Szkoła sztuk pięknych (przy ul. Wierzbowej nr. 8) tak niedawno otwarta, liczy już 200 uczniów i uczenic, co twierdzi wymownie o jej żywotności i potrzebie dla naszego społeczeństwa.

Niewątpliwie dyrekcya i profesorowie rozumieją doskonale niełatwe zadanie stworzenia szkoły, któraby zaspokoiła możliwie najszersze wymagania tak sztuki czystej, jak stosowanej, i wyzyskała różnorodne uzdolnienia i przygotowanie uczniów. Urzeczywistnienie tego wszystkiego tem jest trudniejsze, że szkoła posiada szczupłe środki, nie ma własnego lokalu, więc też jakaś wyczerpująca krytyka jest obecnie conajmniej przedwczesna.

Ale już teraz możnaby zrobić pewne zarzuty kierunkowi i traktowaniu nauki. Otóż, o ile pamiętam, jednem z głównych zadań, jakie sobie szkoła wytknęła u samego początku, było uprzystępnienie studyów w zakresie sztuki stosowanej, rozwinięcie smaku i nauczenie kompozycyj rysunkowych, mogących mieć zastosowanie praktyczne w przemyśle artystycznym. Oczywiście, trudno się łudzić, żeby wszyscy, kształcący się w szkole, zostali artystami malarzami i rzeźbiarzami, większość jednak przy odpowiednim kierunku, umiejętnem wyzyskaniu zdolności mogłaby wyjść na dzielnych, artystycznie rozwiniętych pracowników na polu sztuki, zastosowanej do pewnej gałęzi przemysłu.

Tymczasem w tym celu nic nie zrobiono.

Drugim zarzutem jest wadliwe traktowanie kompozycyi. Uczniowie nie mają żadnego przygotowania i nie otrzymują żadnych wskazówek. Dostaną temat i muszą go zrobić, nie używając motywów obrazowych (bo trudne), kwiatów (bo oklepane) i figur geometrycznych (bo sztywne). Profesorowie oglądają te prace przy drzwiach zamkniętych, oznaczają lepsze gwiazdkami i na tem koniec — żadnych uwag, ani korekty.

Przy studyach rysunkowych i malarskich za niewłaściwe też uważam kolejną, dwutygodniową korektę każdego z profesorów. Wskutek czego uczący się ciągle zmieniają kierunek i sposób traktowania sztuki, co utrudnia im wielce pracę, a profesorom nie pozwala poznać uczniów.

Czyż nie byłoby właściwem pozostawienie każdemu uczącemu się prawa wyboru sali tego profesora, którego system odpowiadałby najwięcej jego indywidualności? Wówczas słuchanoby wskazówek z całem zaufaniem i pracowano szczerzej, a profesor, mając ciągle grzed oczami postępy ucznia, łatwiej mógłby ocenić jego zdolności i pokierować niemi.

Te braki w nowej uczelni uważam w tej chwili za najważniejsze, natarczywie domagające się usunięcia i zreformowania, jeśli nowa instytucya ma rzeczywiście służyć dobru ogólnemu.

Stefania Karpowiczówna.

W sprawie naszej literatury naukowej.

W tych czasach, jak donosi *Kur. Warszawski*, wyszło w Brunszwiku dzieło p. t. „Experimentelle Untersuchungen von Gasen von dr. Morris W. Travers mit einem Vorwort von sir Wiliam Ramsay K. C. B. Deutsch von dr. Tadeusz Estreicher. Druck von Friedrich Viereg u Sohn. 1905.

Dr. Tadeusz Estreicher, podobno docent uniwersytetu *Krakowskiego*, dzieło, tłomaczone z angielskiego na niemiecki, opatrzył własnemi dopełnieniami, które uzyskały pochwałę prof. Ramsay'a.

Już sam fakt, powiada *Kuryer*, że uczony angielski powierzył przekład niemiecki nie uczonemu Niemcowi, lecz Polakowi, świadczy zaszczytnie o pracy i wiedzy naukowej młodego polskiego uczonego."

„Młody polski uczony" zasłużył się bezwątpienia literaturze niemieckiej, przyswajając jej cenne dzieło uczonego Anglika z własnemi dopełnieniami. O ile to jednak przyjemnem być może dla patryotów niemieckich, o tyle przykrem i nawet bolesnem jest dla nas. Po ostatnich wyborach do sejmu pruskiego niektóre z hakatystycznych organów, niemające podobno nic wspólnego z uczonymi niemieckimi, odezwały się z ironią:

„Die Polen sind doch brave Leute."

Teraz i uczony niemiecki, jeżeli zwróci uwagę na polskość pisowni imienia tłomacza lub będzie coś wiedział o krakowskim Estrejcherze Polaku, nietylko pomyśli: „Diese Polen sind doch verdammt brav!" ale zasługę faktów przypisze owocnej pracy towarzystwa H. K. T., dzięki któremu nawet polscy docenci wolą pisać po niemiecku, niż po polsku.

Że *docent universytetu krakowskiego* pracuje nad zbogaceniem zasobnej literatury niemieckiej, nie zaś ubogiej polskiej, jest to trochę dziwnym, choć zrozumiałym objawem pewnych natur „czcicieli potęgi."

Żeby jednak dziennik polski taki fakt podnosił, jako zasługę, i cieszył się z tego, tylko oburzyć nas może.

Nasza literatura naukowa, jest bardzo ubogą pomimo znacznej liczby pracowników zdolnych, rozproszonych po całym świecie. Pisma przyrodnicze zapełniają przeważnie przekłady z wydawnictw zagranicznych, czytywanych zwykle przez wielu. Wskutek braku prac *oryginalnych*, zdolnych zająć każdego i tworzących z pisma organ żywy, zawierający dokumenty naszej wiedzy i kultury, wegetują one, przerabiając pokarm cudzy. Upadek naszej literatury naukowej, doszedł już do tego, że wielu specyalistów, opracowawszy swój przedmiot i wydrukowawszy go w języku niemieckim daje o nim dla zaspokojenia sumienia krótkie sprawozdanie po polsku, skazując czytelników pism naszych na kupowanie tego pisma zagranicznego, w którem dana praca znajduje się w formie nieskróconej. W miarę zwiększającego się znużenia i osłabienia woli, przy chwilowym choćby pogorszeniu warunków życia zaprzestajemy przekładów na język polski i prenumerowania pisma polskiego.

Posuwając się dalej tą drogą dojdziemy do zupełnego zaniku literatury naukowej, rozproszymy się i zginiemy w obcych literaturach, pracując przeważnie pour le roi de Prusse. *Józef Kolski.*

Nauczyciele wiejscy.

Słusznie *Goniec* przypomniał położenie nauczycieli wiejskich. Ludzie ci pobierają od 120 do 220 rub. rocznej pensyi, prócz mieszkania i kawałka gruntu. Po za tem, wymaga się od nich różnych funkcyj, nietylko niemających nic wspólnego z działalnością pedagogiczną, lecz wprost jej wrogich. Nic więc dziwnego, że poziom ich umysłowy i etyczny niewysoko stoi. Są między nimi wyjątki, lecz one tylko jeszcze jaskrawiej oświetlają stan ogólny. Niestety, kwestya ta należy do tego zła chronicznego, którego usunięcia nie można się spodziewać. Nie należy łudzić się; dopóki nauczyciel wiejski nie zostanie uniezależnionym od wpływów postronnych i nie będzie miał gruntu pod nogami w postaci dostatecznego wynagrodzenia, dopóty oświata szkolna na wsi pozostanie tem... czem jest. *b.*

Zatarg.

Wiele zainteresowania wywołały w Warszawie starania specyalnego komitetu o otrzymanie dostaw rządowych dla rzemieślników warszawskich. Dzienniki pilnie notowały postęp narad i układów. Nareszcie umowa została zawarta. Ponieważ całe to przedsiebiorstwo traktowane było dotąd, jako fakt samopomocy, więc zdawałoby się, że sprawa ta leży w dziedzinie zjawisk społecznych i podlega kontroli prasy. Otóż co się dzieje: komitet oddaje robotę jednemu hurtownikowi; wybuchają zatargi pomiędzy pracującymi a przedsiębiorcą, i pisma milczą o tem lub tylko coś nie coś przebąkują. Należy raz kwestyę wyjaśnić, czy zabiegi komitetu obywatelskiego miały na celu wystaranie się o zamówienie dla przedsiebiorcy, czy też o dostarczenie pracy tym, którzy jej są pozbawieni. Różne wykrzykniki sentymentalne i deklamacye sprawy nie tłomaczą. Albo—albo. *r.*

Wracają i idą.

Od pewnego czasu na ulicach pojawiać się zaczynają kalecy, powracający z placu boju; pisma donoszą, że przechodnie chętnie opatrują ich jałmużną. Często też spotykamy ludzi w olbrzymich czapach futrzanych — ci dopiero idą na bój; i tym towarzyszy sympatya, biegną ku nim życzliwe spojrzenia, z piersi wyrywa się westchnienie żalu: czy powrócą? Iluż z tych, powołanych od pracy, od ognisk domowych, nie ujrzy więcej ziemi rodzinnej! A my idziemy dalej: codzienność wrażenia ściera jego ostrość— ból tępieje, choć tkwi jak cierń, jak drzazga, której zaniechano wydobyć. Myśl, zaniepokojona, kurczy się i zamyka w swej skorupie w bolesnem oczekiwaniu dnia jutrzejszego.

BADANIA NAUKOWE.

Ruchy ciał żywych.

Ze wszystkich zewnętrznych objawów życia, dających się bezpośrednio zaobserwować, najbardziej rzucającym się w oczy i najpospolitszym jest *ruch.* Z tego jednego sądzimy nieraz o tem, czy obserwowany przez nas przedmiot jest żywy, czy też martwy.

Zwierzęta i ludzie, stojący na niższym szczeblu rozwoju umysłowego, zdradzają w prawdzie nieraz bardzo naiwny sąd w tym względzie. Widzimy często psy, pędzące za rzuconym, toczącym się kamieniem, starające się pochwycić go zębami: oczywiście biorą go one za przedmiot żywy, uciekający. W starożytnych wierzeniach ludów spotykamy wielką ilość podobnie naiwnych poglądów: słońce, gwiazdy, księżyc, obłoki uważane były, jako ciała w ciągłym pozostające ruchu, za istoty żywe.

A i dziś jeszcze w umyśle prostaczków, pierwszy raz widzących pędzącą lokomotywę, machina ta przedstawia się, jeżeli nie jako rzecz żywa, to przynajmniej, jako dzieło djabła (uważanego za istotę żywą).

I nic w tem dziwnego.

Przyzwyczajono się patrzeć na organizmy żywe, jako na istoty pełne tajemniczości; to też, gdzie źródło jakiego bądź zjawiska naturalnego dajmy na to — ruchu, nie daje się wykryć bezpośrednio tam kładzie się je najczęściej na karb skrycie działających objawów życia.

Oczywiście, dziś z punktu widzenia biologii ogólnej, ruchu nie możemy uważać za istotny objaw życia.

Wiele bowiem organizmów przez cały ciąg swego życia bądź wcale nie wykazuje ruchów zewnętrznych, bądź w tak słabym stopniu, że tylko dłuższe obserwacye mogą go wykryć; należą tu przedewszystkiem rośliny, a z pośród zwierząt — gąbki; inne znów, aczkolwiek przez znaczny przeciąg swego życia wykazują wyraźną zdolność do miejscozmienności, to jednak w pewnym okresie wpadają w stan pozornej „martwoty,“ — pozostając przez jakiś czas całkiem w spokoju, nieruchomo; stanowi temu podlegają prawie wszystkie pierwotniaki, niektóre z robaków, owadów, kręgowców i wszystkie wogóle zwierzęta, na pierwszem studyum swego rozwoju osobniczego, w fazie jajka.

Istotna przyczyna, właściwy mechanizm, wprowadzający organizmy w ruch, w nieznacznym tylko stopniu zostały przez fizyologię wyjaśnione; jakie procesy zachodzą w kurczącym się mięśniu lub w zarodzi poruszających się za pomocą rzęs wolno żyjących komórek — w odpowiedzi na to pytanie więcej posiadamy hypotez, niż pewnych, niewątpliwych wiadomości. I nic w tem dziwnego: już sama budowa organiczna tkanek kurczliwych jest nadzwyczaj zawiłą i w wielu względach jeszcze nienależycie wyjaśnioną. Jeżeli zaś zważymy, że wszelkie ruchy życiowe wykonywane zwykle zostają pod wpływem najróżnorodniejszych tak zewnętrznych, jak i wewnętrznych, obserwacyi naszej mało dostępnych, podniet i bodźców, łatwo zrozumiemy, że ta kwestya musi być nadzwyczaj trudna i daleką jeszcze od ostatecznego wyjaśnienia.

Na sprawę ruchu organizmów rzuciły nieco pewnego światła badania nad t. zw. *tropizmami*. Badania te posługiwały się przeważnie organizmami o budowie stosunkowo prostej, głównie roślinami i zwierzętami jednokomórkowemi oraz podnietami niczłożonemi — działaniem sił fizycznych i chemicznych.

By wyniki tych badań należycie zrozumieć i ocenić, przedewszystkiem jasno winniśmy zdać sobie sprawę z tego, co w fizyologii rozumiemy pod pojęciem *podrażnienie* i *wyzwolenie*, i jaki zachodzi w ciałach żywych *stosunek* bodźców do działania.

Dr. Rosenthal tak przedstawia nam tę kwestyę w swem znakomitem dziele „Fizyologii ogólnej“ *).

Mięśnie zwierząt zimnokrwistych, wycięte w stanie możliwie nieuszkodzonym z ciała żywego lub natychmiast po śmierci, zachowują długi czas jeszcze swe własności życiowe w stanie niezmienionym i mogą być materyałem bardzo odpowiednim do badań zjawisk pobudliwości.

Nie drażnione, pozostają one w stanie zupełnej bezczynności, zupełnego spokoju; dopiero pod wpływem podniet zewnętrznych, podrażnień przechodzą w stan czynny — kurczą się.

Jako podniet użyć tu możemy podrażnień mechanicznych, kłucia, nacisku, itp. lub chemicznych (ciał płynnych lub lotnych, mniej więcej gryzących roztworów soli lub kwasów); wreszcie możemy tu zastosować — wszelkie bodźce fizyczne — ciepło (ogrzewanie, oziębianie) lub elektryczność. Praca, wykonywana przez skurcz mięśnia podrażnionego przewyższa zwykle znacznie siłę zastosowanej podniety.

Niema tu zatem przemiany energii, przenoszenia się jej ze źródła pobudzającego na kurczący się mięsień: podnieta przyczynia się tylko do tego, że tkwiąca w mięśniu energia utajona, potencyalna przechodzi w stan czynny — cynetyczny. Mówimy więc o bodźcach, że one *wyzwalają* ukrytą energię mięśnia.

Proces ten wyobrażamy sobie w ten sposób, że związki chemiczne, składające tkankę kurczliwą, o budowie bardzo zawiłej, posiadają atomy luźno połączone z sobą. Już bardzo nieznaczny bodziec może oderwać te luźne atomy i zespolić je w związki trwalsze. Takiemu procesowi przechodzenia atomów z połączeń luźnych w związki trwalsze towarzyszy zwykle wydzielanie energii cynetycznej — ruchu. Innemi słowy — ze stanu równowagi chwiejnej atomy, tworzące cząsteczki uorganizowane, przechodzą tu w równowagę stałą.

Zjawisko podobnego wyładowywania energii mięśniowej w postaci ruchu porównać możemy z ujawnianiem się energii potencyalnej, ukrytej w materyach wybuchowych — w prochu lub dynamicie. Nitrogliceryna (składnik dynaminatu), zawierająca w swych cząsteczkach atomy w stanie równowagi chwiejnej przez uderzenie lub ogrzanie do 250° C., wybucha, wyładowywując olbrzymią ilość energii cynetycznej i rozpada się na związki o równowadze atomowej, stalszej — na dwutlenek węgla, azot, tlenek azotu i wodę.

W zjawiskach wyładowywania energii ruchowej przez mięsień kurczący się dostrzedz zawsze można nieproporcyonalność pomiędzy wielkością bodźca a ilością energii wyładowywanej.

Badanie zjawisk ruchu napotyka wiele trudności, gdyż w organizmach złożonych występuje on za sprawą licznych podniet, współcześnie działających. Niezawsze więc możemy w odpowiednich doświadczeniach wyodrębnić działanie bodźców poszczególnych. Poprzestać więc tu musimy na prostem przytoczeniu faktów dokładnie poznanych; wykrycie zaś związku wewnętrznego pomiędzy temi faktami należy do przyszłości.

Do najprostszych objawów ruchu, występujących pod wpływem dokładnie znanych bodźców fizycznych i chemicznych, należy to, co w fizyologii ogólnej oznaczamy wyrazem *tropizm* i *taksis* (taxis). Ruchy te występują skutkiem *jednostronnego* działania podniet.

W doświadczeniach z magnesem, przyciągającym lub odpychającym drobne, zawieszone przedmioty, dopiero wtedy możemy wykryć pewną prawidłowość działania, gdy na te ciała magnetyzm działać będzie jednostronnie. Ruch prawidłowy tych ciał w kierunku magnesu wtedy nie może wystąpić prawidłowo i wyraźnie, kiedy wpływy magnetyczne działają na nie wszechstronnie, a przynajmniej wielostronnie. Tylko nierównomierne (jednostronne) podrażnienie warunkuje ruchy w określonym kierunku.

W organizmach stale przytwierdzonych do podłoża, przedewszystkiem więc w roślinach, takie ruchy występują jako nachylenia, skrzywienia, wygięcia i te zjawiska oznaczamy mianem tropizmów; polegają one na nierównomiernym wzroście różnych stron łodyg, liści korzeni itp. Zależnie od sił, powodujących takie jednostronne ruchy odróżniamy *geotropizm*, *heliotropizm*, *chemotropizm termotropizm*. W organizmach zaś, poruszających się swobodnie, odpowiednie ruchy prowadzą do miejsc zmienności, do ruchu postępującego lud do ustawienia się podłużną swą osią względem bodźca, działającego w pewnym określonym kierunku; ruchy takie oznaczamy wyrazem *taxis*, odróżniając *geotaxis*, *heliotaxis*, *chemotaxis*, *termotaxis* itp.

Przytem, jeśli pod wpływem podrażnień np. chemicznych ruch lub pochylenie organizmu zaznacza się w kierunku siły drażniącej, to mamy wtedy do czynienia z chemotropizmem lub chemotaxisem *dodatnim*, jeżeli zaś podrażnienie takie działać będzie niejako odpychająco — to mówimy, że występuje chemotropizm czy chemotaxis — *odjemny*. Rozpatrzmy najwybitniejsze przykłady tych ruchów z uwzględnieniem ich znaczenia biologicznego.

(D. n.).

Kazimierz Kulwieć.

*) Przełożonem na język polski p. M. Flauma, r. 1893.

LITERATURA I SZTUKA.

ZE SZTUKI.

Wystawy Simmlera, Wyczółkowskiego, Masłowskiego i wystawa p. t. „Dom polski“

Któż nie zna „Barbary“ Simmlera? W prawdzie nikt nie porównywał jej z dziełami Rafaela np. lub innego mistrza, ale to raczej dlatego, że ogół nasz zachwycał się „Barbarą,“ a nie znał oryginałów Rafaela. Ten był wielki, lecz obcy i daleki, a Simmler blizki i darzący chwilą rozkoszy za każdą bytnością w Zachęcie. Nikt nawet nie pomyślał o porównywaniu tak różnorodnych talentów. Mimo to starsze pokolenie święcie wierzyło, że żaden obraz nie może być lepszy od „Śmierci Barbary Radziwiłłówny,“ i jego wartością mierzyło wszystkie inne utwory pędzla, a warszawianie, patrząc na „Barbarę“ przez lat dziesiątki, ukochali ją szczerze.

Simmler i „Barbara“ stali się pojęciami nierozdzielnemi.

Ale za to ogół mało co wiedział o działalności Simmlera. Prace jego, głównie składające się z portretów, przechodziły z pracowni artysty do domów prywatnych i nie utrwaliły się w niczyjej pamięci. Nawet artyści młodszego pokolenia niezbyt pełne mieli wyobrażenie o twórczości Simmlera.

Blizko czterdzieści lat upłynęło od zgonu artysty, więc bardzo słuszną była myśl urządzenia jego wystawy w Tow. Zachęty Sztuk Pięknych.

Instytucya tak poważna nietylko powinna służyć sztuce „bieżącej,“ a czasem nawet tuzinkowej, ale i przypominać poglądowo, jaką była nasza sztuka wczoraj, jak się tworzyła i jak rozwijała.

Gdyby taką wystawę Simmlera urządzono przed laty trzydziestu, wywarłaby z pewnością silne wrażenie na ówczesnym ogóle i mówionoby o niej długo, dziś jednak przyjęto ją spokojniej, choć z niewątpliwem zaciekawieniem, jak wygląda twórczość tego, o którym tyle słyszano a znano tylko z jednej pracy.

I pokazano nam blizko trzysta obrazów olejnych, akwareli i rysunków ołówkowych lub węglowych.

Lecz jak je nam pokazano?!

Stłoczono wszystko w jednej sali, bez względu na to, czy w takiem nagromadzeniu będzie możliwem oglądanie.

Wystawa zbiorowa, urządzona w czterdzieści lat po śmierci artysty powinna być hołdem dla jego działalności i dawać możność dzisiejszemu pokoleniu sprawdzenia tych opinij i tej sławy, jaką sobie artysta pozyskał za życia.

Tymczasem wystawa Simmlera robi przykre wrażenie sali licytacyjnej, napchanej pod sam sufit, rama nad ramą, obraz nad obrazem, gdy w sąsiednich salach współcześni artyści rozwieszeni są z całym szacunkiem, niezbyt wysoko i niezbyt ciasno tak, jak każą dzisiejsze, elementarne pojęcia o urządzaniu wystaw. W sali Simmlera powieszono obrazy i szkice po sześć jeden nad drugim i przydałaby się drabina do oglądania rysunków umieszczonych pod sufitem. W dodatku szyby na rysunkach i silny, błyszczący wernika na przyczerniałych malowidłach uniemożliwiły zupełnie dostrzeżenie czegokolwiek, co wisi wyżej. Zamiast samego dzieła widziało się odbity, jak w lustrze, sufit szklany lub szereg kinkietów gazowych.

W sali zbiorów Towarzystwa panuje taka sama metoda. Dość przypomnieć, że autoportret Lessera zawieszono pod sufitem; gdyby się kto nawet uparł, toby wyżej powiesić nie mógł. A jednak lepsze miejsca pozostały wolne! Takie niedbalstwo lub nieumiejętność są wprost niezrozumiałe.

Dziwne miejsca przeznaczono drobnym rysunkom i akwarelom Simmlera, bo ponad wszystkiemi drzwiami.

Zapomnijmy jednak o tych „prawdziwych nieprawdopodobieństwach“ i, o ile się da, przyjrzyjmy się choć tym obrazom, które dostępne są dla oka. Przedewszystkiem uderzają naszą uwagę całe szeregi portretów olejnych. Były one specyalnością artysty. Jednakowo spokojny, a nawet zimny, ale subtelny rysunek, czyni je podobnymi między sobą. Gdyby tu ich było tylko kilka, tobyśmy je oglądali z ciekawością i przyjemnością. Całe zaś szeregi nic nowego nie dorzucają, chyba dają przeświadczenie, że po za wielką subtelnością wykonawczą Simmler był artystą rutynicznym i biernym.

Dlatego też najcenniejszemi jego pracami wydają nam się te, bardzo subtelne, portreciki ołówkowe, zaznaczone prawie samym konturem. Jest ich wiele na wystawie.

Sławna „Śmierć Barbary,“ to najwybitniejsze dzieło w twórczości artysty. Prawdziwego dramatu i uczucia trudno tam szukać, ale wykonanie techniczne i umiejętnie ujęta całość czynią z niego pierwszorzędne dzieło sztuki, charakteryzujące epokę z przed pół wieku. Tak, jak Simmler, malowała wówczas większość najwybitniejszych artystów europejskich.

Niegdyś w Warszawie prace Simmlera były zjawiskiem epokowem wobec większości ówczesnych portretów dyletanckich lub wprost nieudolnych, i to nam tłomaczy zasłużony rozgłos, jaki sobie zdobył.

Portrety jego zapewne będą zawsze uważane za dzieła bardzo subtelnie rysowane i często nawet z charakterem odczute. Zdradzają one dobrego wykonawcę, ale pozbawione są tej indywidualności i odrębności twórczej, które odróżniają samodzielnego mistrza od wytwornego koryfeusza.

Wzmiankę o wystawie Simmlera zakończę skromną prośbą do komitetu Towarzystwa Sztuk Pięknych: jeśli ma zamiar urządzać w dalszym ciągu wystawy pośmiertne naszych mistrzów, to niechaj to czyni z takim przynajmniej szacunkiem i staraniem, jak różne bieżące wystawy i wystawki.

To samo muszę powiedzieć i o zbiorach Towarzystwa. Jeśli one mają stanowić zawiązek przyszłego muzeum, to powinny się składać nietylko z dzieł, wyróżniających się, ale i wystawionych z należytem poszanowaniem. Przytem umieszczanie na obrazach tylko numerów, nakazujących kupno katalogu, jest całkiem nie na miejscu. Obraz należący do zbiorów, powinien mieć raz na zawsze przybitą tabliczkę metalową z tytułem i nazwiskiem wystawcy.

Od wystawy Simmlera do wystawy Wyczółkowskiego, która zajmuje salon sąsiedni — skok ogromny, a jednocześnie i wielce pouczający. Inne pokolenie, inne ideały i poglądy na sztukę. Jeśli Simmler jest wytwornym w subtelnej i wyszukanej linii rysunkowej, to Wyczółkowski imponuje wielką pewnością w rzuceniu sztrychu, czy plamy światła od jednego dotknięcia, bez żadnych poprawek i chwiejnego szukania. Jak znakomity śpiewak wyrzuca wysokie c, tak Wyczółkowski śmiałe sztrychy na płótno; powstają z nich wspaniałe lasy, ośnieżone na zboczach góry, pyszne kwiaty lub pstrokate upierzenie sowy. Wszystko świeże, soczyste i barwne. Przy malowaniu portretu Stefana Żeromskiego ten rozmach już nie wystarcza. Autor tylu pięknych skądinąd portretów staje się tu twardym i bez subtelności. Zamiast inteligentnej, myślącej twarzy autora „Popiołów,“ widzimy jakąś postać niesympatyczną, gnuśną, ospałą, o rysach drewnianych.

W sąsiedniej sali znajduje się kilkadziesiąt akwareli Masłowskiego. Są to resztki specyalnej wystawy, jaką ten artysta miał w Zachęcie. Przeważają krajobrazy dobrze zaobserwowane, szczere i niemal naiwne. Nic tu niema pretensyonalności, nic błagi lub sadzenia się na szyk. Cyganka w czerwonej chuście wybornie traktowana. Jest to jedna z najlepszych prac tego artysty.

Wkrótce ma być otwarta w gmachu Tow. Sztuk Pięknych I-sza doroczna wystawa artystów polskich. Ma to być coś w rodzaju dorocznego „Salonu“ polskiego. Z wielkiem zaciekawieniem oczekujemy pojawienia się tego wysiłku naszej kolonii artystycznej.

*

Pan Krywult stale sprowadza obrazy artystów zagranicznych. W ten sposób, nie wyjeżdżając z Warszawy, można się zapoznawać choć z drobnym ułamkiem sztuki europejskiej. Niezawsze wybór bywa szczęśliwy i kasowy, ale obecnie trwająca wystawa Willy Hamachera należy do bardzo ciekawych. Kilkadziesiąt płócien przedstawia różne efekty morskie. Nasza publiczność ma tu rzadką okazyę zapoznania się z dobrym „marynistą,“ których w malarstwie polskiem należą do rzadkości.

Inne sale wystawy p. Krywulta zajmuje „Dwór polski“. Pomysł takiej wystawy jest bardzo szczęśliwy. Przy rozbudzonych dążeniach do stworzenia stylu swojskiego i budowania się w nim bardzo jest ciekawem i pożytecznem zapoznanie się z tym materyałem, jaki nam przeszłość zostawiła.

Tę wystawę trzeba uważać tylko jako próbę, wobec której trudno być bardzo wymagającym, przy następnych jednak trzeba będzie położyć nacisk na to, żeby wystawione okazy były wszystkie bądź dokumentami z budowli istniejących ze wskazaniem miejscowości, bądź projektami budowli, posiadającymi rzeczywiście jakieś cechy swojskie i oryginalne. W pierwszej salce zgromadzono prace ręczne artystów: olejne, akwarelowe lub rysunkowe. Podzieliłbym je na dobre pod względem malarskim, ale fantazyowane, a więc niemogące służyć jako dokumenty i na dyletanckie i nieudolne, ale często podające bardzo ciekawe motywy, odszukane w jakimś zakątku kraju.

Do szczęśliwych wyjątków zaliczyłbym dobre pod względem technicznym i jednocześnie wierne, jako dokumenty prace Apoloniusza Kędzierskiego, Czesława Tańskiego, Stanisława Kamockiego, Antoniego Kamieńskiego i kilku innych.

Bardzo ciekawe motywy budowli, a nawet pojedynczych przedmiotów drewnianych, jak krzyże przydrożne, stare pompy studzienne itp. dał w rysunkach piórkowych Edmund Perle.

Pana Bystydzieńskiego „dworek modrzewiowy w Marysińku“, jako architektura jest dość dziwacznym, ale pełnym motywów i pomysłów szczególniej w mnóstwie różnych przystawek.

W sąsiedniej większej sali zgromadzono kilkaset fotografij, drzeworytów, sztychów i rysunków ołówkowych, przedstawiających różne pałace, zamki, ruiny, dwory itp. Szkoda, że przy większości niema żadnych objaśnień, co do ich pochodzenia.

Polecam uwadze fotografię dworu drewnianego w Rudnikach gub. Kaliskiej.

Do cech charakterystycznych, właściwych naszym dworom i dworkom należą: ganek, dach i facyaty. W gankach trzeba zwracać uwagę na filarki i ich kształty często rzeźbione. Bywały ganki z pięterkiem. Zasiadała tam kapela grając fanfary w chwili zajeżdżania znakomitszych gości w czasie uroczystości weselnych itp. Dachy w dawnych budynkach bywają o dwu kondygnacyach. Motyw ten często spotykamy w bożnicach, których wcale nie znalazłem na wystawie, a szkoda, bo mimo pozorną dziwaczność twierdzenia są to jedne z ciekawszych zabytków drewnianego budownictwa polskiego, i bezwątpienia zawierały motywy wspólne z dworami i kościołkami drewnianymi.

W dziale projektów znajduje się jeden jedyny model domu pomysłu art. mal. Stefana Popowskiego.

Model ten technicznie wykonany bardzo niedołężnie, więc robi wrażenie nieestetyczne, a pod względem pomysłu nieodznacza się niczem oryginalnem, ani pięknem. Planów, ani przekrojów autor nie podaje, więc trudno się domyśleć, jak sobie poczyna z podziałem wewnętrznym, sądząc jednak z modelu, plan i rozmieszczenie okien bardzo byłyby nieudatne.

Spotykam szereg projektów z nazwiskami naszych architektów: Józefa Witkiewicza, Antoniego Jabłońskiego, Antoniego Porczyńskiego, Jana Heuricha i innych. Pomysłem i doniosłością pracy wyróżnia się dwór zbudowany w Łańcutowie podług projektów Stanisława Witkiewicza.

Wiadome są zarzuty, jakie czynią przeciwnicy stylu zakopiańskiego. Twierdzą oni, że jest to styl z dużą przymieszką obcych naleciałości, nadających się jedynie do budynków chłopskich i drewnianych. Stanisław Witkiewicz zadał kłam temu. Dowiódł on nie gołosłownie, ale budowlami, że ten styl da się zastosować do budynków większych i wytworniejszych, np. „Koliba“ p. Gnatowskiego, dom dr. Chrostowskiego, dom pod Jedlami pp. Pawlikowskich, Kaplica Św. Jana Chrzciciela itp. Wykazał następnie, że ten sam styl można zastosować do budowli z kamienia. Jest to ewolucya niezmiernie ważna. I oto mamy na wystawie fotografię dworu w Łańcutowie. Ta fotografia powinna wisieć na miejscu honorowem i tak, żeby każdy profan zrozumiał, jaką doniosłą rolę ona odgrywa. Urządzający wystawę wetknęli ją w kąt i zgubili pomiędzy różnemi banalnościami, tak że tylko specyalista i zawzięty szperacz może odszukać i wyróżnić. I dziwimy się potem, że nasza publiczność jest taka obojętna na szczere usiłowania w sztuce!

Sierp.

Notatki literackie i artystyczne

— Leopold Meyet: „Losy pewnego projektu Steinkellera,“ str. 45. Ciekawa notatka archiwalna, o usiłowaniach tego niepospolitego człowieka w celu stworzenia przemysłu bawełnianego u nas, których wynikiem było założenie do wspólki z Lichtensteinem wielkiej przędzalni w Żarkach.

— „Rocznik Warszawski“ na rok 1905. Obszerna księga, zawierająca bogaty dział informacyjny, z której całkowity, czysty dochód przeznaczono na rzecz Warsztatów Rzemieślniczych przy ul. Stawki nr. 24. wydana w Warszawie przez B. Goldfedera.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Postępy prawodawstwa pracy.

II.

W pierwszej naszej kronice postępów prawodawstwa pracy zaznaczyliśmy, że prawodawstwo to w ciągu ubiegłego roku osiągnęło pewną zdobycz, że tak powiemy, terytoryalną. Rozpowszechnia się ono dopiero na kraje, które go dotychczas wcale nie znały — choć takich w obrębie cywilizacyi europejskiej jest niewiele. Przed dwoma, czy trzema laty, fabryczne prawodawstwo francuskie zostało rozszerzone na Algier; w r. z. ogłoszono projekt pierwszego prawa fabrycznego dla Japonii, który teraz czeka oczywiście na pomyślniejsze warunki. W r. b. do liczby państw, posiadających prawodawstwo ochronne pracy, przybyła kolonia, Australia Zachodnia, jedna z siedmiu ustanowionych kolonij Australii (Nowa Zelandya, Queensland, Nowa Walia Południowa, Wiktorya, Australia Południowa, Australia Zachodnia, Tasmania). Co prawda, kolonia ta ma tylko 215,000 ludności (cztery razy więcej, niż przed dziesięciu laty!) i, oprócz górników, tylko kilka tysięcy robotników. Ale pomimo to jej prawodawstwo, zarówno jak prawodawstwo sześciu sąsiednich kolonij, jest pod wieloma względami wzorowe.

Przedewszystkiem, nie wypuszcza ono ze swej sieci, jak to robią prawodawstwa europejskie, mniejszych przedsiebiorstw przemysłowych. Nazywa fabryką wszelkie przedsiebiorstwo, podpadające pod działalność prawa, używające motoru innego, niż ludzki, albo też, choćby pozbawione motoru, jeśli tylko w niem pracuje nie mniej, niż 6 osób; wszystkie fabryki muszą być zaregestrowane, ale dokonywa się tego dopiero po obejrzeniu przez inspektora, czy odpowiadają wszelkim wymaganiom sanitarnym.

Do pracy w fabrykach dopuszczane są dzieci płci obojga dopiero od lat 14 skończonych, przyczem dla dziewcząt aż do lat 16 są pewne racyonalne ograniczenia hygieniczne, zabraniające im zecerki, zajęć w cegielniach itp. Zresztą kobiety i młodzież wogóle odsunięte są od pracy przy rtęci (lustra) lub bieli ołowianej. Kobiety wszelkiego wieku i chłopcy do lat 16 nie mogą pracować więcej, niż 48 godzin tygodniowo, a $8^3/_4$ dziennie, przyczem co tydzień musi być jedno popołudnie (od 1-ej) wolne od pracy. (Oczywiście niedziela całkowicie wolna). Po 5 godzinach pracy winna zawsze następować pauza, najmniej trzykwadransowa. Praca nocna, od 6 wieczór do 8 rano, jest wzbroniona kobietom i chłopcom. Oznaczone *maximum* czasu roboczego wolno przekraczać, ale tylko nie o więcej, niż trzy godziny w ciągu doby, niż dwa dni z rzędu i 30 dni w ciągu roku; przytem wszelka taka praca dodatkowa ma być opłacana o 25% drożej, niż zwykła. Fabrykant musi prowadzić dokładnie księgi roboty dodatkowej z wyliczeniem szczegółowem osób, zapłaty itd., które na każde żądanie winien przedstawić inspektorowi.

Kobiety nie mogą też być zatrudnione przez 4 tygodnie po połogu.

Samo się przez się rozumie, że istnieją szczegółowe przepisy co do hygienicznego urządzenia fabryk, niezbędnych wygód, umywalni itd.; między innemi zabroniono spożywania pokarmów podczas przerw w salach pracy, w samych warsztatach, muszą do tego być osobne izby.

Prawo usiłuje też zapobiedz pracy domowej dla przedsiebiorcy i sweating-systemowi, czyli strasznemu wyzyskowi pracujących w domu przez pośredników. W tym celu przedsiebiorca, który oddaje jakąkolwiek robotę po za fabrykę, obowiązany jest prowadzić dokładny spis robotników i dokonanej przez nich roboty, której oddawanie jeszcze w trzecie ręce jest bezwarunkowo zakazane.

Inspektorowie fabryczni, obojga płci, mają prawo prowadzenia śledztwa. W warsztacie musi być wywieszony adres inspektora oraz rozkład godzin pracy. Kary pieniężne dochodzą do 10 funtów sterl. (100 rubli) lub 5 funt. sterl. za każdy dzień, w razie recydywy może nawet nastąpić wykreślenie z regestru, czyli poprostu zamknięcie fabryki. Inspektorowie składają roczne sprawozdanie parlamentowi. Gubernator ma prawo pozwolić na pewne wyjątki.

To nowe prawo zachodnio-australskie wzorowane jest oczywiście na prawach dawniejszych sześciu sąsiednich kolonij, tylko pod niektórymi względami jest mniej od nich surowe. Tak np. w dwóch innych koloniach pod kontrolę inspekcyi i wszelkie ograniczenia prawodawstwa podpada już taka fabryka, w której pracują 4 osoby, w czterech innych zaczyna się to od 2 osób zatrudnionych (oprócz właściciela i jego żony), a w Tasmanii wystarcza nawet, gdy zatrudniona jest, oprócz właściciela, choćby jedna osoba z kategoryi korzystających z opieki prawa (kobiet lub młodzieży do lat 18). W ten sposób i rzemiosło nie może wyśliznąć się z sieci dobroczynnej kontroli kulturalnej.

Prawa inspektorów fabrycznych są także większe w tych koloniach (Wiktorya i Australia południowa), gdzie istnieją obowiązujące sądy rozjemcze, oznaczające na pewien przeciąg czasu skalę płac w każdej miejscowości i gałęzi pracy. Inspektorowie mogą wobec tego żądać przedstawienia sobie spisów robotników wraz z dokładnemi danemi o wypłaconych im zarobkach, tak dziennych, jak od sztuki.

Pracę domową i sweating-system usiłuje się w Nowej Zelandyi utrudnić i ograniczyć jeszcze w ten sposób, że każdy przedmiot, zrobiony *nie* w fabryce, musi mieć przypiętą, drukowaną markę tekturową z nazwiskiem i adresem robotnika, który go zrobił.

Co się tyczy najważniejszej rzeczy, mianowicie przepisów, dotyczących płci, wieku pracujących i czasu pracy, to rzut oka na prawodawstwo siedmiu kolonij australskich daje takie rezultaty:

Dzieci dopuszczone są do pracy w fabrykach: w czterech koloniach od 14 lat, w dwóch od 13, w jednej, Tasmanii, już od 12. Zatrudnienie młodszych może być w czterech koloniach (z wiekiem minimalnym 14 lub 13 lat) dozwolone wyjątkowo przez inspektorów naczelnych lub ministrów; ale za to w większości kolonij inspektorzy mają też prawo i młodzież do lat 16 usuwać od pracy fabrycznej, jeśli lekarz uzna ją za zbyt szkodliwą. Oprócz tego, samo prawo we wszystkich koloniach rozciąga jeszcze swą opiekę nad młodzieżą od lat 16 do 18, a nawet (nad dziewczętami) do 21, usuwając je od pracy w pewnych określonych, niezdrowych lub niebezpiecznych gałęziach, jak drukarnie, zapałczarnie, cegielnie, fabryki soli, huty szklane, czyszczenie i dozorowanie maszyn i wind, operowanie rtęcią lub bielą ołowianą itp.

Czas pracy robotników dorosłych płci męzkiej ograniczony jest, niestety, w jednej tylko Nowej Zelandyi, a mianowicie do 48 godzin najwyżej tygodniowo, a $8^3/_4$ dziennie.

Praca kobiet i młodzieży płci męzkiej do lat 16 (w Tasmanii do lat 18) ograniczona jest tylko w Tasmanii do *maximum* dziennego — 10 (dla dzieci do lat 14 — 8 godzin), a we wszystkich innych koloniach jest oznaczone *maximum* zarówno dzienne, jak tygodniowe. To ostatnie wynosi wszędzie 48 godzin, a w Nowej Zelandyi — 45; *maximum* dzienne — w Wiktoryi i Australii południowej 10 godzin, w Australii zachodniej $8^3/_4$, w Nowej Zelandyi, Queenslandzie („Kraju Królowej" i Nowej Walii południowej — 8 godzin, przyczem jednym ciągiem wolno pracować tylko 5 godzin, w Nowej Zelandyi nawet tylko $4^1/_4$, a pauza wynosi pół do jednej godziny, i w dwóch koloniach: Nowej Zelandyi i Australii zachodniej, musi raz na tydzień być popołudnie wolne; oczywiście idzie tu o sobotę, dzięki czemu kobiety gospodynie mogą załatwić się przed niedzielą ze wszystkiem w domu i w niedzielę spokojnie odpoczywać cały dzień.

Zakaz pracy nocnej dla kobiet i młodzieży lub dzieci nie istnieje tylko w dwóch koloniach: Australii południowej i Tasmanii.

Zakaz zatrudniania położnic przez 4 tygodnie po połogu istnieje, niestety, tylko w Nowej Zelandyi, która wogóle pod każdym względem przoduje, Nowej Walii południowej i Australii zachodniej.

Ciekawe jest uregulowanie przedłużania pracy po nad normę. Prawie wszędzie wymagają za każdym razem pozwolenia inspekcyi, a już co najmniej natychmiastowego zawiadomienia jej w razach wyjątkowo nagłych, gdy np. grozi szkoda materyalna, i zawsze dokładnego prowadzenia osobnych ksiąg. Prawie wszędzie jest zakazana wszelka praca dodatkowa w święto i w popołudnia wolne. Wszędzie, z wyjątkiem Australii południowej i Tasmanii, które wogóle stoją pod względem prawodawstwa pracy najniżej, wszelka praca dodatkowa musi być opłacana drożej, niż zwykła: w trzech koloniach aż o 50%, w dwóch o 25%, z oznaczeniem jeszcze *minimum* 6 pensów (25 kop.) za godzinę, a nawet w Wiktoryi fabrykant, prócz podwyższonego o 50% zarobku, musi jeszcze każdej osobie pracującej dodać 6 pensów „na herbatę" na każdy wieczór. Dalej oznaczone jest *maximum* roczne: w ciągu roku najwyżej 10, 30, 40, lub wyjątkowo 60 (za osobnem pozwoleniem) może być dni z pracą dodatkową, a Australia południowa określa inaczej: 100 godzin w ciągu roku. Istnieje też *maximum* tygodniowe: 1 dzień *), 2 lub najwyżej 3 dni, lub, jak określają trzy inne kolonie, *maximum* normalne pracy tygodniowej może być wyjątkowo podniesione do 51—56—60 godzin. I wreszcie w ciągu jednego dnia nie może być więcej, niż 3 godziny pracy dodatkowej i ciągnąć się one nie mogą późno w noc, lecz np. w Queenslandzie najwyżej tylko do $9^1/_2$ godziny wieczorem.

Cechą charakterystyczną australskich prawodawstw pracy są jeszcze ograniczenia, dotyczące Azyatów — pod tą ogólną nazwą rozumie się głównie Chińczyków, którym rządy usiłują utrudnić wstęp do kraju i konkurencyę z robotnikami białymi. Wskutek tego prawa różnych kolonij przepisują np. że wszelka fabryka, w której pracuje choćby jeden Azyata, musi być co rok regestrowana nanowo za podwyższoną opłatą, lub też pod pojęcie fabryki kontrolowanej podciągają, w razie zatrudniania Azyatów, takie które mają choćby jednego robotnika, gdy *minimum* białych robotników wynosi 4 albo 6. Niekiedy wszelki wytwór, wychodzący z rąk chińskich, musi mieć odpowiednią markę. Prócz tego Azyaci podlegają tym samym ograniczeniom, co kobiety i dzieci, mają taki sam maksymalny dzień roboczy, zakaz pracy nocnej i popołudniowej w sobotę, a te zakazy w Wiktoryi rozciągają się nawet na wszystkich robotników, nawet mężczyzn dorosłych, jeśli w fabryce pra-

*) Wiktorya.

cuje choćby jeden Chińczyk. Oczywiście, to wszystko nie ma humanitarnego celu opieki nad żółtymi robotnikami, a tylko zmierza do pozbawienia fabrykantów korzyści z zatrudniania Azyatów, którzy sami przez się mają mniejsze wymagania i mogą obniżać poziom życiowy robotników miejscowych. Trzeba jednak przyznać, że takie rozciągnięcie na imigrantów równych praw ochronnych—jest w tym względzie jedynem skutecznem i racyonalnem.

K. Krauz.

Z PRASY.

— *Nowoje Wremia* rozpoczęło drukować szereg artykułów o kwestyi uniwersyteckiej w Rosyi i w pierwszym z tych artykułów pisze: „Współczesne położenie naszych uniwersytetów nie może nie zwrócić na siebie uwagi i nie wzbudzić w społeczeństwie rosyjskiem trwożnej obawy o przyszłość naszej wyższej oświaty. Naukowy poziom rosyjskiej profesury w ciągu ostatnich 15—20 lat znacznie się obniżył; jej wytwórczość literacka jest bardzo słaba. Bardzo rozpowszechnionem jest pośród profesorów kumulowanie zajęć, a jeszcze częściej wykładanie nieraz w kilku naukowych zakładach, skutkiem czego profesor uniwersytetu zamienia się w pedagoga-rzemieślnika i tym sposobem traci możność śledzenia postępów nauki i kurs naukowy, jaki wykłada, staje się suchym i jednostajnym, niejako nieruchomionym, skutkiem czego traci wszelki interes w oczach słuchaczów. Nawet w stołecznych uniwersytetach niektóre katedry są obsadzone przez osoby, niemające stopnia naukowego, chociażby tylko magistra, w prowincyonalnych zaś uniwersytetach zjawisko to jest wręcz na porządku dziennym. Pomimo to ogólna liczba nieobsadzonych katedr we wszystkich uniwersytetach rosyjskich w 1901 r. dochodzi do 67. Z tej liczby na petersburski uniwersytet przypada 10, na moskiewski 12. Wobec braku prawdziwych kwalifikacyj naukowych osoby, zajmujące katedry profesorskie, nie mają i nie mogą mieć dodatniego wpływu na umysły młodzieży i nie cieszą się z jej strony tym szacunkiem, który jest tak naturalnym wobec profesorów stojących na wyższym poziomie naukowym, którzy zyskali sobie zaszczytną renomę swemi pracami naukowo-literackiemi. Wszyscy poważniejsi przedstawiciele dawnej profesury, mający zasłużone imię w nauce i powagę u studentów, usunęli się obecnie od kierownictwa spraw uniwersyteckich i nie biorą odpowiedzialnych urzędów. Tem się tłomaczy to nienormalne zjawisko, że nawet w uniwersytetach stołecznych na stanowiskach naczelnych rektorów i dziekanów widzimy osoby, niemające wymaganego do tych posad w myśl ustawy naukowego stopnia doktora. Oczywiście w takich warunkach uniwersytety nasze nie mogą chlubnie wypełnić swego głównego zadania, tj. stać się ogniskiem ruchu umysłowego, być dźwignią umiejętności.

Z mniejszem jeszcze powodzeniem spełniają uniwersytety rolę zakładów naukowo-wychowawczych, przysposabiających młodzież do wyższej nauki. Czysto naukowa działalność uniwersytetów nierozdzielnie związana jest z ich działalnością naukowo-wychowawczą, im wyższą jest naukowa powaga profesury, tem gruntowniejsze naukowo-wychowawcze przygotowanie daje uniwersytet swym wychowańcom. Na uniwersytetach naszych pod tym względem w ostatnich 15—20 latach stosunki złożyły się bardzo niekorzystnie. Wobec bardzo dotkliwie uczuć się dającego braku profesorów, posiadających pełne kwalifikacye naukowe, wobec szablonowego i rzemieślniczego w wielu wypadkach charakteru wykładów uniwersyteckich, wobec znacznej liczby nieobsadzonych katedr — naukowo-wychowawcza działalność uniwersytetów nie mogła być zbyt owocną. W ostatnich latach zaś prawie istnieć przestała. Uniwersytety nasze przechodzą obecnie przesilenie w tej formie i w takich rozmiarach, jakich jeszcze nigdy nie obserwowano ani w Rosyi, ani w krajach Europy zachodniej. Dziś stały się one widownią politycznych manifestacyj.

Przyczyny tego zjawiska, przedstawiającego poważne niebezpieczeństwo z punktu widzenia państwowego i społecznego, są nadzwyczaj skomplikowane i różnorodne. A przedewszystkiem zaznaczamy, że zjawisko to nie może i nie powinno być policzone wyłącznie na karb niedostatecznej organizacyi uniwersytetów rosyjskich. Pomimo wielkich i prawdziwych braków obecnej organizacyi uniwersytetów, nie wystarczają one same przez się do wytłomaczenia jednostajności ruchu studenckiego we wszystkich zakładach naukowych i we wszystkich miastach uniwersyteckich. Wszędzie bowiem ruch ten przybrał charakter niepożądany dla władz, wszędzie młodzież okazuje obojętność dla spraw uniwersytetu, a zwierzchnictwo uniwersytetów i profesorowie bezsilni są, ażeby wnieść ład i uspokojenie między młodzież. Trzeba mieć również na względzie, że młodzież zjawia się do uniwersytetu nietylko fizycznie dojrzała i mniej więcej zdolna do przyswojenia sobie wiedzy, ale także zjawia się już z pewnym określonym, choćby niezupełnie jeszcze wyrobionym poglądem na objawy życia państwowego i społecznego — poglądem, który urabia się głównie pod wpływem środowiska, w jakiem żyje młodzież przed wstąpieniem do uniwersytetu."

— Generał Dragomirow mówi w *Razwiedczyku*:

„Japończycy bynajmniej nie straszni nam są szaloną odwagą, bo tem nas trudno zadziwić; lecz straszni są swą przeklętą dokładnością i ścisłością, która bije w oczy z każdego rysunku japońskiego, z każdej najtańszej szkatułki przez Japończyka odrobionej. Wszak to nietylko rzemieślnicza dokładność, ale i dokładność psychologiczna. Perspektywy Japończycy nie znają, ale z jaką skończoną dokładnością wyrysuje Japończyk lub wyhaftuje każdą najdrobniejszą plamkę, na którą Europejczyk nie zwróciłby uwagi. Przekonany jestem, że z taką samą dokładnością Japończycy zachowują w pamięci to, co czytają.

Japończycy, nie zapsuci tysiącami tomów ustaw i przepisów, czytają wszystko uważnie, odróżniają ważne od mniej ważnego, pierwsze zachowują w pamięci dokładnie i zastosowują konsekwentnie w praktyce, a resztę odrzucają. Jakże okazali się pojętnymi uczniami Niemców. I manewrują i okrążają doskonale, a przecież w to nie uwierzyli, że ogniem odeprzeć można każdy atak. Niebezpieczny to nieprzyjaciel — dlatego właśnie, że ma ład w głowie."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Senat wyjaśnił, że podsądnym należy na żądanie wydawać bezpłatnie kopie wyroków w sprawach zapadłych, chociażby te wyroki już się uprawomocniły i zaskarżeniu nie podlegały.

— Towarzystwo poprawy losu kobiet w Moskwie uchwaliło starać się o dopuszczenie kobiet do wszystkich uniwersytetów, na równi z mężczyznami, tudzież o zniesienie formalności przy wydawaniu paszportów kobietom zamężnym.

— Petersburski komitet centralny Towarzystwa „Ica" obraduje nad sprawą osiedlania Żydów na roli w Królestwie Polskiem; zamierza on kupić odpowiednie obszary ziemi, i oddawać ją w małych działkach. Na ten cel przeznacza 400,000 rb., które ratami zwrócić mają osiedleńcy.

— Na ogólnem zgromadzeniu Towarzystwa krzewienia oświaty w Kursku uchwalono starać się w drodze prawodawczej, ażeby: 1) stowarzyszenia i zakłady, mające na celu oświatę, mogły być zakładane bez uzyskiwania specyalnych pozwoleń i nie mogły być zamykane w drodze administracyjnej; 2) ażeby była poręczona nietykalność osób, zabezpieczona przez jawne sądy przysięgłych; 3) ażeby zapewniono wolność prasy, przemówień i zgromadzeń."

— Dowódca okręgu wojennego nadamurskiego zawiadamia pragnących przesłać cokolwiek jeńcom wojennym do Japonii lub zasięgnąć wiadomości o nich, żeby listy i przesyłki skierowywali pod adresem: „Agent handlowy, Plaore, w Chabarowsku, ul. Popowska nr. 36."

— Naczelnikom gmin i ławnikom w Poznańskiem nakazano wystąpić z polskich banków ludowych.

— Według angielskiej statystyki urzędowej w Anglii znajduje się 28,674 robotników i 24,863 robotnic polskich.

— Rząd pruski wydalił wszystkich robotników z Rosyi, zajętych przy budowie kolei z Kostrzyna do Stargardu.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty pozwoliło na urządzanie w gimnazyach męzkich kursów języków nowożytnych, po za godzinami szkolnemi, z warunkiem, że uczęszczać na nie będą uczniowie okazujący dobre postępy w przedmiotach obowiązkowych.

— Pozwolono na otwarcie wyższych kursów lekarskich dla kobiet w Moskwie.

— Podniesiono projekt wprowadzenia wykładu zasad anatomii i hygieny do gimnazyów męzkich.

— Kobietom, które ukończyły w r. 1903—94 wyższe kursa lekarskie w Petersburgu, przyznano prawo otrzymania dyplomów lekarzy.

— Liczbę Żydów studentów podwyższono w uniwersytecie moskiewskim i petersburskim z 3 do 3½%, w kijowskiem, warszawskim i odeskim z 10 do 15%, w charkowskim, jurjewskim, kazańskim i tomskim z 5 do 7%.

Wiadomości naukowe. Akademia nauk w Sztokholmie postanowiła utworzyć instytut Nobla dla chemii fizycznej. Dyrektorem ma być prof. Arrhenius.

Zdrowie publiczne. Rostow n. Donem i Saratow ogłoszono za nawiedzone epidemią cholery.

Literatura i prasa. *Rozwój* łódzki w siódmą rocznicę swego istnienia ogłosił konkurs im. Bolesława Prusa na nowele o tematach i rozmiarach dowolnych, z nagrodami 100 i 50 rb.; termin do 1 czerwca 1905 r. Nowele będą wydrukowane w *Rozwoju* a następnie wydane w osobnej książce z napisem: „Ku uczczeniu Bolesława Prusa," czysty dochód przeznaczony na stypendyum imienia Bolesława Prusa dla łódzkiej Szkoły Rzemiosł. Za odsetki tego kapitału, w miarę możności, Szkoła Rzemiosł wyśle jednego ucznia Polaka za granicę dla wykształcenia w wybranem przezeń rzemiośle.

— *Ruś* donosi: „Wskutek nadmiernego napływu publiczności, nie odbyła się konferencya p. Arsieniewa o pożądanych zmianach w prawie prasowem, proponowana z inicyatywy sekcyi administracyjnej stowarzyszenia prawników w Petersburgu. Nietylko obie sale Zjazdu sądów pokoju, lecz kurytarze, schody i westibul zajęła zwarta masa ludzi, nawet i na ulicy zebrały się tłumy, wstrzymane u wejścia przez przybyłych wcześniej." Posiedzenie ma się odbyć w obszerniejszej sali.

— Mają być ułatwione przepisy o otwieraniu drukarń i pokrewnych im zakładów.

— W ministeryum spraw wewnętrznych zorganizowano komisyę dla przejrzenia ustaw prasowych; powołani mają być do niej niektórzy redaktorowie.

— We Lwowie wychodzi 110 pism peryodycznych polskich, 45 rusińskich i kilka żydowskich.

Sprawy ekonomiczne. Zeszłotygodniowy wykaz zalegających na kolejach transportów zbożowych określa je na 88,000 wagonów. Największe zaległości utworzyły się na kolejach Południowo-Wschodnich.

— Dnia 1 b. m. zamknięto wystawę międzynarodową w St. Louis. Zwiedziło ją 18,750,000 osób. Dochód ogólny wyniósł 13,250,000 dol., zaś urządzenie i utrzymanie kosztowało około 5 mil. dol.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu J. Sz. Najdokładniej poinformować Pana może w tym względzie redakcya „Poradnika dla Samouków" w Księgarni Naukowej, Krucza 44.

Prenumeratorowi. O pierwszej rewolucyi francuskiej w tłomaczeniu polskiem dzieło H. Taine'a. Inne szczegóły i wskazówki można znaleźć w „Poradniku dla samouków."

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою Варшава, 26 Ноября 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.